№ 64. Wtorek, dnia 21 Grudnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 9 (21) Grudnia 1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 6 kop. —; miesięcznie kop. 50.
„ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 8; —
„ „ kwartalnie rs. 2.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351. (nowy 11).

OD REDAKCYI.

Nowy okres istnienia rozpoczyna się dla **Ogniska Domowego** z nadchodzącym Nowym Rokiem. Zawiadamiając o tem dotychczasowych tego pisma Czytelników, których czynne poparcie zagrzało nas do dalszych usiłowań na obranej drodze i do udoskonaleń, zgodnych z dążnością i programem **Ogniska Domowego**, zwracamy się zarówno do nich jak i do ogółu Publiczności, w nadziei, że krótki, porównawczy rzut oka na przeszłość i przyszłość wykaże, jak zadanie nasze pojmujemy, jaki cel wytknęliśmy sobie, i co dla dopięcia tegoż celu uczynić zamierzamy. To zdanie sprawy z dotychczasowej działalności i z projektów naszych, poczytujemy sobie za obowiązek i dopełniamy go tem śmielej, że pragnąc szczerze, aby dążenia nasze były zgodne z potrzebami i życzeniami Publiczności, mamy zarazem wewnętrzne przekonanie, iż w tym właśnie duchu do dzieła odrodzenia „Ogniska“ przystępujemy.

Każde niemal pismo przedstawia w początkach swego istnienia zalety i wady, właściwe młodzieńczemu wiekowi: z jednej strony zapał, dobrą wiarę, energię, zacność dążeń i poglądów, zaufanie w swoje siły, i w życzliwe tych wszystkich zapatrywań; z drugiej niedostateczny zasób doświadczenia, nieustaloną jeszcze łączność duchową z czytelnikami, co w połączeniu z rozlicznemi przeszkodami materyalnej i moralnej natury, utrudnia zajęcie upragnionego stanowiska, którego hasłem jest: **postęp duchowy i umysłowy, użyteczność dla wszystkich i we wszystkiem.**

Tem hasłem powitaliśmy Czytelników w chwili, gdy wydawnictwo **Ogniska Domowego** przeszło w nasze ręce, tę dążność staraliśmy się uwydatniać na każdym kroku, w każdym numerze, w każdym artykule naszego pisma. Śledząc atoli bacznie za rozwojem onegoż, nabyliśmy przekonania, że dotychczasowe rozmiary „Ogniska“ nie harmonizują z bogatym jego programem, że obszerny obraz, jaki zamierzyliśmy podawać Czytelnikom, malał do miniaturowych kształtów, z powodu ciasnych ram, w jakich mieścić się musiał. Tem doświadczeniem wzbogaceni, postanowiliśmy, po trzechmiesięcznych sumiennych przygotowaniach, przystąpić do stanowczej, radykalnej reformy naszego wydawnictwa, to jest rozszerzyć **„Ognisko”** do takich rozmiarów, aby serdeczne ciepło i żywotny blask jego przenikać mogły w najdalsze zakątki kraju.

Ze zmianą formy, nie zmieni się jednak kierunek **„Ogniska“**; jak dotąd stało, tak stać będzie nadal jako strażnica wiary, ideału i piękna dziejowego, owej trójcy duchowej, którą strącić z piedestału usiłuje gruby materyalizm stulecia. Reformy przedsięwzięte mają owszem na celu głębsze i dokładniejsze uwydatnienie tego kierunku. Jasną bowiem jest rzeczą, że stojąc niezachwianie przy umiłowanych zasadach, powiększamy zakres „Ogniska“ na to jedynie, abyśmy więcej niż dotąd wyczerpująco roztrząsać mogli kwestye najżywotniejsze dla ***rodziny***, będącej zawiązkiem i podstawą każdego społeczeństwa. Wpływać, wedle sił i możności, na utrwalenie węzłów rodzinnych, na duchowe i umysłowe doskonalenie dojrzałych i dojrzewających pokoleń, oto jeden z najgłówniejszych naszych celów.

Niemniej ważnym przedmiotem naszych prac przygotowawczych, był kierunek naukowy i estetyczny, objęty programem naszego pisma. Doszliśmy do przekonania, że luźne artykuły tej treści, umieszczane dorywczo i czytane pobieżnie, w małej tylko cząstce skutek zamierzony osiągają. Pragnąc przeto dział ten podnieść, udoskonalić i zrobić go prawdziwie pożytecznym, postanowiliśmy, zamiast rozpraszać artykuły naukowe w szpaltach pisma, jednoczyć je w osobną całość. W tym celu zwykłe dodatki, zawierające tłumaczone powieści, zastąpimy dodatkiem innym, **równie jak tamte bezpłatnym**, lecz **obszerniejszym, ozdobniejszym**, a co najważniejsza, dającym zamiast chwilowej a niezawsze niewinnej rozrywki, zdrowy pokarm dla serca i umysłu. Będziemy przeto w tym dodatku pomieszczać wyczerpujące prace naukowe, to jest: **dzieła popularne, z drzeworytami objaśniającemi** i te dzieła, mające z czasem utworzyć kompletną **bibliotekę popularno-naukową**, będziemy drukować **w formacie książkowym** dla tem większej dogodności Czytelników. Dodatek ten obejmować będzie rocznie tomów 4 do 5, po 200 przeszło stronnic w każdym tomie, formatu dużego in 8-o. Powziąwszy ten pomysł, nowy i jak mniemamy, pożądany dla Czytelników, nie zawahaliśmy się przed bardzo znacznemi ofiarami, których doniosłość Czytelnicy ocenią, skoro powiemy, że ofiarujemy im **bezpłatnie** cztery tomy, przedstawiające w handlu księgarskim wartość co **najmniej** czterech rubli.

Tak więc, każdy numer naszego pisma obejmować będzie w przyszłości **półtora arkusza**, formatu niniejszego prospektu, i zawierać artykuły dopełniane w miarę potrzeby drzeworytami, a **oprócz tego, szesnaście stronnic bezpłatnego dodatku**, odpowiedniego zakresowi naukowej części programu pisma i również **ozdobionego drzeworytami.** Dodatek ten rozpoczniemy wydawnictwem dwutomowego dzieła p. t. „Najważniejsze odkrycia i wynalazki w dziedzinie nauk i przemysłu“. Następnie, umieszczać będziemy kolejno: „Historyę Sztuk Pięknych“—„Pogadanki Astronomiczne“—„Historyę Muzyki“—„Historyę stworzenia Ziemi“ i t. d. i t. d. Tytuły te objaśnią niewątpliwie Czytelników o rodzaju i doniosłości naszego przedsięwzięcia.

Do wypełnienia tak obszernego planu, zjednaliśmy sobie liczny zastęp współpraco-

wników, oddawna zaszczytnie znanych w naszem piśmiennictwie. Nazwiska tych osób, od których **dotychczas** uzyskaliśmy łaskawe zapewnienie życzliwego i czynnego współdziałania, wymieniamy:

Anczyc Władysław.—Bełcikowski Adam. Berlicz Sas (hr. Strutyński Juliusz). — Bliziński Józef. — Błydowski A. — Borkowska A. (z Chomentowskich).—Bogusławski Władysław. — Chomentowski Władysław. — Czernicki Gustaw. — Deotyma. — E...ly. — Faleński Felicyan. — Gregorowicz Jan. — Gloger Zygmunt.— Jarochowski Kazimierz. Kasznica Józef.—J. I. Kraszewski.—Kaszewski Kazimierz. — Kirkor A. H.— Kleczyński Józef.—Korzon Tadeusz.—Korotyński Wincenty.—Hr. Koziebrodzki Władysław. Koźmian Stanisław. — Kraków Paulina. — Kotarbiński Józef. — Lubowski Edward. — Łoziński Władysław. — Dr. Łuczkiewicz Henryk.—Łuszczkiewicz Władysław.—Niewiadomski Wincenty. — Noskowski Władysław. — Noskowski Zygmunt.—A. E. Odyniec. — Orzechowski Tadeusz. — Prusinowski Jan.—Rzętkowski Stanisław.—Sadowski Jan Nepomucen. — Sarnecki Zygmunt,—ks. Siarkowski Władysław.— Siemieński Lucyan. — Sienkiewicz Henryk. — Sobieszczański Maxymilian. — Sokołowski Maryan. —Hr. Stecki Tadeusz Jerzy.—Szymanowski Wacław. — hr. Tarnowski Władysław.—Wójcicki Kazimierz Władysław. Zacharyasiewicz Jan.—Zaleska Marya (autorka wieczorów czwartkowych).—Zalewski Kazimierz. — Żmiechowska Narcyza (Gabryela).

Na tem odezwę naszą kończymy. Wypowiedzieliśmy dążności, zamiary i cele nasze. Zobowiązań przyjętych dopełniać będziemy sumiennie i wkrótce przyrzeczenie to zaczniemy stwierdzać czynem. Mamy dobrą otuchę, że „Ognisko Domowe“ jako **Pismo Rodzinne** w najszlachetniejszem i najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, dozna ze strony Publiczności tego poparcia, na jakie zasługuje każde przedsięwzięcie, którego podstawą jest **cześć dla ideału,** a celem **szerzenie światła.**

Wydawca i Redaktor
Jan Noskowski.

WARUNKI PRZEDPŁATY: (*)

W Warszawie:

rocznie	rsr. 6 kop.	—
półrocznie	„ 3 „	—
kwartalnie	„ 1 „	50

W Cesarstwie i na prowincyi:

rocznie	rsr. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2

Prenumeratorowie ***Ogniska Domowego*** posiadają prawo do znacznie zniżonej przedpłaty na ***Bajki Lafontaine'a,*** w nowym polskim przekładzie, z przepysznemi rysunkami słynnego ***Gustawa Doré,*** które nakładem i staraniem **Jana Noskowskiego** wychodzą od 1 Grudnia r. b. w nader ozdobnem i wykwintnem wydaniu.

Cena tego dzieła, które w całości obejmie około 930 stronnic druku z 85 wielkiemi in 4-to rycinami i 500 mniejszemi rysunkami, dla **nieprenumerujących *Ogniska Domowego*** wynosi w Warszawie **Rsr. 16** a z przesyłką pocztową **Rsr. 20.** Warszawscy zaś **prenumeratorowie *Ogniska Domowego*** będą mogli otrzymać ***Bajki Lafontaine'a*** za **Rsr. 11** lub też nabywać je zeszytami, których będzie razem 58, a które wyjdą w ciągu roku

(*) Z powodu zmiany w cenie prenumeracyjnej „Ogniska Domowego“ uprasza się tych Szan. Prenumeratorów, którzy już przesłali prenumeratę według normy dawniejszéj, aby zechcieli zastosować się do cen powyżej podanych, i resztę należności prenumeracyjnej do Administracyi „Ogniska“ nadesłać raczyli.

Red.

jednego, licząc od dnia 1 Grudnia r. b. Cena zeszytu wynosi **kop. 20. Prenumeratorowie na prowincyi,** otrzymają ***Bajki Lafontaine'a*** za **Rs. 14** i opłatę na nie przesyłać mogą wraz z prenumeratą na ***Ognisko Domowe,*** którą w takim razie wynosić będzie łącznie z przedpłatą na ***Bajki*** **Rsr. 5 kop. 50** kwartalnie.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz Numer 63).

— Mówiłam wam przeszłą razą o dawnéj Grecyi, jéj bohaterskich czynach i o tem jak świetność jéj gasnąć zaczęła wtedy, kiedy pomiędzy tym mężnym a mądrym narodem szerzyć się zaczęło zepsucie, i obywatele przejęci własnym interesem, rozmiękczeni zbytkiem, nie umieli już zasłonić własnemi piersiami granic swego kraju od napaści wrogów, tak jak to dawniéj ich przodkowie czynili. Mówiłam wam też wtedy i o owym spartańskim narodzie, którego hart i cnoty dotąd w przysłowiu zostały. Wszak pamiętacie to zapewne dzieci?

— O! pamiętamy! zawołali razem i Staś i Kazio.

— Otóż, mówiła daléj matka, wtedy, kiedy Grecya upadać zaczęła, na Zachodzie powstawać zaczął nowy naród, który z czasem wzrósł do takiéj potęgi, że zawładnął prawie całą znaną wtedy półkulą ziemską.

Była to rzeczpospolita Rzymska; nie będę wam dzisiaj szczegółów opowiadać, jakie ten naród przechodził koleje, jak zmieniał formę swego rządu i z rzeczypospolitéj stał się cesarstwem, bo niedługo przyjdzie czas że szczegółowo o tem uczyć się będziecie. Powiem tylko wam, że długo bardzo naród ten był potężnym i świetnym, aż dopóki przesycony

---

U OGNISKA.

XII.

Zbliżanie się świąt ożywia Warszawę niezwykłym ruchem, który ma w sobie cechy jakich nie dostrzegliśmy nigdy winnych miastach europejskich. Przyznać potrzeba że jest coś w zwyczajach naszych, z tej epoki roku, co jej nadaje charakter wzniosły i szlachetny, pomimo zmateryalizowania w jakie od lat niespełna dziesięciu popadło nasze społeczeństwo. Ogół mieszkańców syreniego grodu, jakby odetchnąć chciał po zmorze zabiegów o byt, dławiącej oddech w piersi, jakby na ferye jakieś — sposobi się do *gwiazdki.* Bo zaświecić ma ona nie tylko dla dzieci ale i dla dorosłych. Raźny nurt handlowego i przemysłowego życia zatrzymuje się na parę dni świąt Bożego-Narodzenia, wszyscy po gorączkowéj pracy odpoczywają, wszyscy u źródeł spokoju czerpią nowe siły, najobojętniejsi i najzimniejsi nawet zasiadają w około *domowego ogniska,* aby rozgrzać serca zlodowaciałe w codziennym, całorocznym trudzie. Urok tych dni zmusza do marzeń i zastanowień się moralniejszych, poważniejszych, głębszych. Tradycya, świętym swoim wpływem, gromadzi koła familijne przy *wigiliowych* stołach, a łamanie się opłatkiem, przypomina „zjadaczom chleba“ że jest coś szlachetniejszego w téj uroczystéj, dziejowéj przenośni obyczaju, od powszedniego chleba. Starsi oglądają się za siebie w przeszłość, i widzą że dawniej cieplej, solidarniej i szczelniej w towarzyskiem życiu bywało; młodsi w obec tych wspomnień uczują może potrzebę reformy, któraby na brudne i szare życie dzisiejsze, sprowadziła jasne promienie prawdy, ideału i błogosławieństwa bożego; dzieci dostając w dłonie gwiazdkowe książeczki ziarna wiedzy, wiary i miłości, wyzwolą się może z oków apatycznego realizmu, któremi zakuliśmy się nieopatrznie, pewni że zaprzęgamy się tylko do jarzma pracy. Więc dla tego, mimowolnie, witamy wszyscy radośnie święta grudniowe, widzimy w nich nadzieję dobréj odmiany i jak to słaba nasza ludzka natura wymaga, spodziewamy się czegoś lepszego od nowego roku, a tygodniowy kronikarz wasz, mili czytelnicy i czytelniczki „Ogniska“, którzy wkrótce zasiądziecie przy stole zasłanym sianem, niemając jeszcze opłatka w dłoni, łamie się jednak z wami szczerem słowem życzeń wszystkiego dobrego.

Dobroczynność publiczna pomyślała o gwiazdce dla ubogich i urządziła *Bazar,*—jak to corocznie od kilku lat w zwyczaj weszło,— w salach redutowych. Pod różnowzoremi i gustownemi namiotami, piękne panie sprze-

bogactwem zdobytem na podbitych ludach, nie oddał się przepychowi i zbytkom, za któremi poszło zaraz zepsucie, zupełne zepsucie obyczajów i cnót domowych; każdy z możniejszych zapragnął władzy, wszczęły się wojny domowe, rzezie, pożogi. Zepsucie, jakie było w samym Rzymie, szerzyć się zaczęło po innych jemu podległych krajach, i straszno spojrzeć w przeszłość ową, ile tam się złego działo, jakie zbrodnie, występki, jakie okrucieństwa, jaki ucisk słabszych; ludzie już nic szanować nie chcieli, w dawnych swoich bogów wierzyć przestali, a wiary prawdziwéj jeszcze nie znali. Lecz kiedy wszystko było tak już w złem pogrążone, Bóg ulitował się nad upadającą ludzkością i zesłał jéj zbawienie. Wtedy to przyszedł na świat Jezus Chrystus ze słowem prawdy na ustach, które szerząc się pomiędzy zbłąkanemi ludźmi, naprowadzać ich zaczęło na drogę cnoty, i Chrystus sam a potem przez swych apostołów nauczać zaczął nowéj wiary, wielkiéj i świętéj a tak prostéj, że każde najmniejsze dziecko pojąć ją może od razu, bo główną jéj podstawą jest miłość bliźniego. On to nam wskazał, że ludzie kochać się jak bracia powinni, tworząc jakby jednę wielką rodzinę, i każdy z ochoczem sercem i dobrą wolą śpieszyć powinien ku drugiemu ze szczerą pomocą, nie krzywdzić słabszego a owszem otoczyć go opieką, wspomódz w potrzebie, w nieszczęściu pocieszyć, urazę swoją szczerze darować a obowiązki swoje sumiennie spełniać. I długo jeszcze tak Anna mówiła, opowiadając jak Chrystus przez czas jaki gościł wśród ludzi, czynem popierał swoje słowa i dawał przykład postępowania, a kiedy zwróciła mowę do tego, jak nikt nie powinien żyć wyłącznie dla siebie, lecz myśleć ażeby to życie jego przyniosło pożytek społeczeństwu, bo przyjdzie czas kiedy będzie musiał zdać rachunek przed Bogiem z czynności swoich, z tych darów jakiemi go wszechmocna łaska Boża obdarzyła, to wtedy, dźwięczny jéj głos podniósł się z uczuciem i widno było że nie z samych ust te słowa płyną.

A dzieci, cicho, z największą uwagą słów matki słuchały. Brońcia śliczną swą główkę położyła na ramieniu matki, a rozumne jéj oczki aż łezkami zaszły, Kazio nie zmienił postawy a Staś ciągle oparty o kolana matki nie ruszał się ani zadrzemał, spokojnie zapatrzył się w płomień palącego się ognia i widać było że coś myślał sobie.

Janusz opuścił gazetę, założył ręce na piersiach, słuchał a patrzył na żonę ze czcią i miłością zarazem.

Wieczór zimowy zbiegł mgnieniem, i nadeszła pora wieczerzy, wszyscy przeszli do jadalnego pokoju.

— Powiedz że nam panie Wacławie coś z nowin, które ci nadesłano z szerszego świata, mówił Janusz podczas wieczerzy, list z Warszawy przyniósł ci ich zapewne niemało.

— Ważnego nic mi nie donoszą, odrzekł p. Wacław, oprócz, jak zwyczajnie bibliomanowi, nowości literackich. Donoszą mi tylko rzecz dość ciekawą, bo cechującą pewien szczęśliwy zwrot w poglądach naszéj społeczności. Przeczytam państwu, jeśli pozwolicie, ten wyjątek z listu.

— Prosimy, odpowiedzieli razem Janusz i Anna.

Pan Wacław wyjął list i czytał:

„Prawda“, pismo redagowane przez p. Wandę Korwinową, gorącą propagatorkę u nas zasad niemieckiéj filozofii Hegla i jemu podobnych, a któréj rozprawy tyle ci, mój Wacławie, krwi niegdyś napsuły, upadła całkowicie a filozofka broni się tylko rozpaczliwie surowéj krytyce, która ją ze wszech stron chłosta. Opinia powszechna do najwyższego stopnia jest dla niéj nieprzychylną, mąż nawet opuścił tę kobietę, która do tyla nie jest kobietą, że porwała się na wywrócenie naszéj wiary świętéj, oddając ją pod zimną krytykę rozumu; rozumu, który tylekroć razy już się omylił, wtedy, kiedy wiara spokojnie a z taką potężną, niezachwianą siłą dopełniła olbrzymiego dzieła, a ludzkość ze zwierzęcości podniosła do godności człowieczeństwa. A cóż powiedzieć, że w naszym kraju kobieta z tym wystąpiła. Polka bez wiary! —to jakaś anomalia, któréj pojąć trudno i cieszę się też z serca patrząc jak dziś opinia publiczna ocknęła się z chwilowego odurzenia i prześladuje ją niemiłosiernie.

— Biedna Wanda! zawołała ze łzami w oczach Anna.

— Czy pani zna ją osobiście? zapytał pan Wacław zdziwiony.

— To cioteczna siostra i towarzyszka lat dziecinnych mojéj żony, odpowiedział mu z cicha Janusz.

— Ah! wybaczcie mi państwo, ja nic o tem nie wiedziałem, tłómaczył się p. Wacław.

— Nie mówiliśmy nigdy o niéj, bo nam to wspomnienie z wielu względów było przykrem, mówił Janusz, ale przewidywaliśmy, że kiedyś nastąpi to co się stało obecnie.

Pan Wacław przepraszał, że pomimo woli stał się przyczyną przykrości, oznajmiając wieść taką dotkliwą, i był zmięszany. Po wieczerzy wszyscy się rozeszli, Janusz i Anna pozostali sami.

— Ah! jakże ta Wanda musi być teraz nieszczęśliwą, powiedziała Anna głęboko zmartwiona, jakież jéj życie złamane!

— Może potrzebuje po rozstaniu się z mężem jakiéj pomocy; dobrze byłoby Anno moja, gdybyś się do niéj odezwała; napisz z serca, to ją pocieszy i może jeszcze opamięta.

— Mój drogi Januszu, jak ty zawsze moje myśli i uczucia odgadujesz.

— Cóż to dziwnego, jedyna ty moja, odpowiedział Janusz i przycisnął ją do gorącéj swéj piersi.

---

dają towary rozliczne, od których pewien procent kupcy warszawscy poświęcają na korzyść biednych patronowanych przez Towarzystwo Dobroczynności. Wprawdzie, moda głównie gromadzi w tym przybytku elegancyi tłumy ciekawe oglądania arystokratycznego kobiecego świata, w imie miłości bliźniego trudniącego się przez dni cztery kramarstwem, ale cel jednak i rezultat bardzo świetny, zwykle osiągany z tej handlowej rozrywki i zabawy, nadaje jej cechę sympatyczną dla naszego ogółu. Nie cierpimy próżności... motora wielu filantropijnych warszawskich przedsięwzięć, mniejsza jednak o próżność — jeśli rzeczywiście nieszczęśliwi zarobią na tem kęs nasycającego chleba a może nawet i moralne jakieś zadowolenie, dozwalające spokojniej spojrzeć w smutną krainę losów, po za nowym rokiem rozscielającej się przyszłości. Dla tego też i my łączymy się z wyrazami uznania dla bazarowego przedsiębierstwa, i my pragniemy aby setki sprzedanych towarów, przyniosły tysiące... otrzyć mające łzy niedoli.

W dniu 20 listopada „Zakład Rękodzielniczy dla kobiet“ w Warszawie, skończył dwuletni peryod swego istnienia, o działalności którego złożył w tych dniach zarząd przed uczennicami swemi roczne za 1875 sprawozdanie, z którego cytujemy następujące wyjątki, pewni że one interessować będą nasze czytelniczki.

„Zakład Rękodzielniczy przeniósł ideę równouprawnienia kobiet, z teoryi w czyn; za pomocą pracy chce on przeprowadzić to równouprawnienie. Usiłowania jego w tym kierunku nie pozostały bezowocne; postęp zaczyna być coraz widoczniejszy, a wymownym jego dowodem — napływ do Zakładu uczennic ze wszystkich stron, poważne i szczere zajęcie się nauką rzemiosł i wytrwałość, z jaką dążą do zamierzonego celu.

Za jego przykładem poszły inne miejscowości kraju naszego, jako to: Kalisz, Płock, Żytomierz, gdzie powstały podobnego rodzaju zakłady. W tym celu otwierający takowe, osobiście zwiedzali Zakład Rękodzielniczy Warszawski i żądali objaśnień. W Warszawie uczennice jego otworzyły już pracownię ze sklepem rękawiczniczym i kilka pracowni sukien damskich; wiele innych, które ukończyły kurs różnych rzemiosł, zajmują się robotami w domu i odnoszą materyalne korzyści z nabytéj umiejętności. Na prowincyi pracownie—rękawiczek w Radomiu, introligatorskie: w Częstochowie, Radomiu, Kaliszu, orazinne kobiece warsztaty rękodzielnicze (obuwia damskiego, kwiatów sztucznych)—powstały z inicyatywy Zakładu. W Cesarstwie otworzone zostały przez uczennice jego, pracownie sukien damskich; w Smoleńsku, Mińsku, Saratowie, Białej-Cerkwi, Kowlu i Dubnie.

Zakład Rękodzielniczy przedewszystkiem stara się, aby praca kobiet racyonalnie była prowadzoną, w celu podniesienia dobrobytu rodzin i rozwoju przemysłu krajowego; postanowił on, niezależnie od wykładanych już rzemiosł, wprowadzić w zakres przedmiotów, umiejętność gospodarstwa domowego i wiejskiego, zastosowaną do obecnych wymagań. W tym celu otworzył zapis na wykłady teoretyczne nauk: a) Gospodarstwa Domowego, b) Gospodarstwa Wiejskiego, c) Ogrodnictwa i d) Hygieny. Kobieta wykształcona w tych przedmiotach godnie spełni swe zadanie w rodzinie i skorzysta z swéj pracy. Nauka hygieny wskaże jej w jaki sposób ochraniać zdrowie do-

Zaraz na drugi dzień Anna napisała do Wandy list serdeczny, pełen szczerego braterskiego uczucia i przelała weń tyle ciepła, że zdawało się że i kamień nawet rozgrzałby się przy nim, a w odpowiedzi odebrała list suchy, nawet cierpki trochę. Widocznie Wandę ukłuła odezwa Anny; przeczuwając w niéj współczucie, ona, taka dumna, przywykła do zwycięztw i panowania, nie mogła znieść téj myśli, ażeby ktoś jéj pożałowanie ofiarowywał.

. . . .

Mkną po niebieskiem przestworze jeden za drugiem obłoki, to jaśniejsze, to ciemniejsze, szybko, polotnie, a nie cofniesz, nie wstrzymasz ich w biegu; tak biegną jeden za drugim lata w życiu człowieka, tak przebiegło też ich znowu kilkanaście od chwili, którąśmy w ostatnim rozdziale przedstawili naszym czytelnikom. Państwo Augustowie rozstali się z sobą, pan August zabrał Edzia i wyjechał na Podole a Wanda z Janinką pozostała w Warszawie; ale czy wierna swojéj zasadzie, czy może chcąc tylko zrzucić z siebie kłopot i obowiązki, które przy nieustannéj pracy piśmiennéj zbyt jéj ciążyły, zaraz po wyjeździe męża umieściła Janinkę na najpierwszéj pensyi, jaka była temi czasy w Warszawie. Pensya ta utrzymywaną była przez pannę czy panią Duval (bo tego nikt na pewno nie wiedział) exguwernantkę francuzkę, i miała wielki rozgłos i powodzenie. Pensya utrzymywana była na stopie wytwornéj, z obmyśleniem na efekt; wszystko tam na pozór zdawało się odpowiadać temu czego u nas, ci co oddają córki na pensyą, wymagają od zakładu naukowego,więc panienki wychodzące ztamtąd poprawnie mówiły przynajmniej dwoma obcemi językami, były układne, zgrabnie tańczyły. a z resztą było już jak okoliczności zrządziły,

Janinka była zdolną do nauki, miała chęć i łatwość wrodzoną i nauczyła się też łatwo wszystkiego, czego na pensyi nauczyć się mogła; ale, jak zwyczajnie pensyonarka, była to istota oderwana od społeczności swojéj, bezbarwna, chwiejna, z przewróconą główką, po któréj bezładnie plątało się swobodnie wszystko, oprócz — prawdy życia.

Wanda umieściwszy córkę na pensyi, a tym sposobem dopełniwszy, według swego przekonania, macierzyńskich względem niéj obowiązków, z podwojonym zapałem i już zupełnie swobodna rzuciła się do pracy; a i nagliły ją do tego towarzyszące okoliczności, krytyka nie dawała jéj wytchnienia, coraz silniejszemi argumentami zbijając jej rozumowania; filozofka nasza zdwoiła wytężenia. Nic tak łatwo człowieka upoić i zaślepić nie jest w stanie, jak powodzenie chociażby chwilowe, chociażby najmniej zasłużone. Wanda, która przez kilka lat czuła się być wyrocznią, zdołała pozyskać tłumy wyznawców, obsypywana publicznem uwielbieniem, nie mogła wierzyć w upadek swojéj chwały; a że, jak to zwykle się dzieje w takich razach, w otaczającem ją kółku nawet ci, co po za oczy stawali w przeciwnym obozie, w oczy jednak politykowali, i albo udawali potakiwanie albo okazywali indyferentyzm, więc pociski coraz silniejsze na siebie wymierzane uważała jako wynik intrygi i knowań skoalizowanych przeciwników, nie zaś jako głos opinii powszechnéj; to ją drażniło i walka stawała się coraz gorętszą. Wanda szukała pomocy u głównych apostołów nowatorskiej idei, posługując się najsubtelniejszemi ich argumentami, ale przez zrobiony raz wyłom w téj kunsztownie ale wątło zbudowanéj twierdzy, obrońcy staréj wiary wdarli się już łatwo, otrzymując zwycięztwo i sympatyą ogólną. Wanda ani na chwilę nie wierzyła w upadek propagowanéj przez siebie idei, widziała ją tylko zachwianą w naszym kraju chwilowo i uważała za czyn polityczny usunąć się na czas jakiś z widowni, aby rozgłosowi tego kryzysu dać przebrzmieć; potem zaś, gdy publiczność zapomni o nim cokolwiek, postanowiła z nową siłą rozpocząć propagandę, a była najmocniej przekonaną, że, utorowawszy dla niéj drogi, łatwo już ją potem wprowadzić potrafi. Zamknęła się więc w bardzo ciasnem kółku i nie wydała już nic na widownię publiczną, gromadząc tylko materyały do nowej walki i przygotowując dzieło wielkich rozmiarów, niezmiernie starannie opracowane, pełne, jak uważała, niezwalczonéj siły.

Janinka tymczasem skończyła kurs pensyi, a było to wtedy, kiedy już idea emancypacyi, równouprawnienia, usamowolnienia kobiet coraz rozgłośniej szerzyć się zaczęła i coraz więcéj adeptek znajdowała. Wanda, z zasady i charakteru, przyjęła ją z najwyższem uznaniem. Na zasady i kierunek córki nie dawała nigdy żadnego baczenia, i wpłynąć na nie nie usiłowała wcale, po części, że jak wiemy nigdy na to czasu nie miała, a wreszcie, że jak mówiła zawsze, zasady swoje i kierunek człowiek sam w dojrzalszym już wieku według własnej woli wyrabiać powinien; z tem wszystkiem samodzielność ukazywała zawsze córce jako najwyższy stopień godności kobiecéj i Janina też dążyła do niéj z całą namiętnością zapalonéj głowy. W uniwersytecie zurichskim dozwolono kobietom uczęszczać na kursa; bez chwili wahania Wanda wysłała tam córkę by korzystała z przywileju. Tymczasem społeczność naszą zaprzątały nowe różnorodne kwestye żywotne, co przesuwały się jedna za drugą, zmieniając się co chwila i wywołując starcie się zdań różnorodnych. Pod wpływem nowych wrażeń, nowych myśli, dawno już zapomniano o gorącéj polemice filozoficznéj, jaką niegdyś wiodła Wanda, a tymczasem na zachodzie, jak grzyby na przegniłej ziemi, wyrastały coraz nowe idee, mające związek pośredni lub bezpośredni z ideą niegdyś tak żywo u nas przez Wandę propago-

---

mowników i wychowywać dzieci; wykład buchalteryi nauczy ją rachunkowości, tak niezbędnej w domu, gospodarstwie i wydatkach domowych.

W ciągu roku 1875 pobierało naukę w Zakładzie 146 uczennic, wieku od 16 do 60 lat. (W roku zeszłym 186, razem 332). Prawie wyłącznie były to kobiety z klasy średniej. W ogólnéj liczbie 146 znajdowało się: 61 uczennic miejscowych, 52 z gubernij Królestwa, 31 z Cesarstwa i 2 z Pruss. W ogóle było panien 126, mężatek 14, wdów 7. Podług stanu, panien—córek: obywateli ziemskich 46, obywateli miejskich 11, doktorów i prof. 8, urzędników 45, kupców i fabrykantów 7, oficyalistów 8; żon: ob. ziemskich 4, urzędników 5, kupców 2, inżynierów i budowniczych 3; wdów: po obyw. ziemskich 3, po urzędnikach 4.

Z ogólnéj cyfry 146 ukończyło całkowity kurs 90, z otrzymaniem świadectwa uzdolnienia; nieukończyło 56, z których 18 opuścił Zakład przed złożeniem egzaminu, a 38 pobiera jeszcze naukę. W tej liczbie uczęszczało na kurs: kroju sukien 84, ukończyło 72, nieukończyło 12: kwiaciarstwa 16 ukoń. 6, nieuk. 10; introligatorstwa 15, ukoń. 5, nieuk. 10; rękawicznictwa 8, ukoń. 3, nieuk 5; kroju bielizny 5, ukoń. 4, nieuk. 1; buchalteryi 11, nieuk. 11. Z tych 38 pobiera naukę.

Cyfry te doprowadzają do następujących wniosków:

a) że najwięcéj uczennic było z wyższem wykształceniem, pojmujących całą doniosłość pracy;

b) że prowincya dostarczyła znaczniejszą ilość (85) w porównaniu z miejscowemi (61);

c) że w ubiegłym roku liczba uczennic, które ukończyły całkowity kurs nauk, wzrosła o 45%, — fakt ten wymownie świadczy o coraz bardziej rozpowszechniającem się u nas zamiłowaniu kobiet do pracy;

d) że z pomiędzy kilkunastu rzemiosł zapowiedzianych przez Zakład, kilka zaledwie jest uczęszczanych, pomimo że inne równe korzyści zapewnić mogą.

W ubiegłym roku wiele panien, które ukończyły kursa w tutejszych zakładach naukowych, kształciło się w Zakładzie; najodpowiedniejszy to czas do wyuczenia się rzemiosła. Niektóre z uczennic, utrzymujące się li tylko z lekcyj, opłacały ze skromnego zarobku naukę w Zakładzie. Wytrwałość godna uznania a zarazem nastręczająca myśl, że utworzenie, przez zamożniejsze Panie nasze, stowarzyszenia pomocy dla kształcących się w rzemiośle, byłoby bardzo na czasie. Każda z uczennic z chęcią zobowiąże się zwrócić poniesione na naukę koszta, skoro już zarobkować będzie mogła. Może zamożniejsze Panie zechcą pomyśleć nareszcie o pomocy dla tych, które na opłatę nauki wydają ciężko zapracowany grosz."

Nie wdajemy się ani w pochwały ani w krytykę, zdaje się że zestawienie cyfr i faktów korzystnie przemawia na rzecz Zakładu; zwracać będziemy dalej nań baczną uwagę i o losie jego wspominać w naszej *ogniskowej* kronice, pewni, że pewien publicystyczny nadzór opinii jest najlepszą gwarancyą świetnego dlań rozwoju w myśl zdrowych i zacnych tendencyj, wymaganych przez czas i okoliczności.

(*X—i.*)

waną. Wanda uznała, że teraz właśnie najlepsza będzie pora wystąpić; dzieło, potężnéj jak sądziła w téj mierze doniosłości, obszernie, wyczerpująco napisane, było już gotowe, chodziło tylko o to by go rozpowszechnić, ale autorka nie miała na to funduszów. Dzieło znacznych rozmiarów wymagało nakładu na który zdobyć s ę nie mogła, gdyż utrzymywała się tylko z pensyi, którą jéj płacił mąż; pensya ta, aczkolwiek nadsyłana regularnie, w ręku niepraktycznéj kobiety często niedostatecznie pokrywała potrzeby życia. Udała się więc z tem do księgarzy nakładców, lecz pomimo, że autorka kładła bardzo przystępne warunki, jakoś każdy z tych panów wymówił się od tego przedsiębierstwa, tłomacząc się zbyt licznemi zobowiązaniami wydawnictw których się podjął. Wandę to irytowało, i widziała się zmuszoną zaczekać, aż się wyczerpią zapasy nakładców.

Pomimo zaślepienia i wiary w siebie, Wanda od niejakiego czasu zaczynała się niepokoić; nie umiała sobie wytłómaczyć tego, że księgarze nie kwapili się jakoś wcale do wydania jéj dzieła, wtedy, kiedy najmocniej była przekonaną, że, bez względu na treść, samego jéj imienia, ukazującego się niespodzianie po tak długiem milczeniu na widowni literackiéj, wystarczy, aby obudzić powszechny interes a więc i konkurencyę wydawców; sądziła, że ci z największą skwapliwością pochwycą propozycyę wydawnictwa, które im pewne korzyści przyniesie; tej skwapliwości nie okazywali wcale ci sami nawet, którzy dawniej z taką gotowością publikowali najmniejszą broszurkę jéj pióra, a im więcéj nad tem myślała, tem ją większy niepokój ogarniał.

Zdarzyło się, że po śmierci właściciela księgarni jednej z najznaczniejszych w Warszawie, objął ją synowiec zmarłego, świeżo przybyły z Wilna, człowiek już nie pierwszej młodości, światły, wykształcony i ścisły badacz literatury krajowéj. Wanda postanowiła udać się do niego, ale że świeżo przybyły nie znał jéj osobiście, umyśliła widzieć się z nim i rozmówić, nie dając mu się poznać.

(C. d. n.)

Z PODRÓŻY PO SERBII.

V.

Księstwo Serbskie jest krajem górzystym. Nieznaczna tylko część onego w stronie północno-zachodniej jest płaszczyzną. Góry na zachodzie (Medwednik, Jablonik), jako i na wschodzie (Stola, Rtanj, Sterbac, Deliovan) dosięgają 4,000 stóp. Najwyższa góra w Serbii Kopaonik zwana znajduje się na granicy południowej, a wysokość jéj podawaną jest przez kartografów na 970 sążni wiedeńskich czyli 5,820 stóp. Na szczytach gór tych napotykają się często rozwaliny starożytnych murów rzymskich.

Serbia liczy około 30 gorących źródeł mineralnych, których temperatura dochodzi do 32 stopni Réamura i które wszystkie zawierają dużo siarki. Do najsławniejszych tego rodzaju kąpieli, licznie przez Serbów, Rumuńczyków i Turków zwiedzanych, należą: Brestowaczka Banja na wschodzie księstwa niedaleko Saiczar, Aleksinac na granicy południowéj i Aranjelowac o dwa dni drogi oddalone od Belgradu. Z tych zwiedziłem jedynie Brestowaczką Banję, gdzie są cztery źródła bardzo obfite o 24 do 30 st. Réamura. Miejsce to było przepełnionem, tak, że literalnie nie znalazłbym pomieszczenia, gdy usłużny lekarz zdrojowy nie był się zlitował nademną i nie przyjął mnie do kancelaryi swojej. Położenie tu jest cudowne wśród stromych skał trachytowych, pokrytych bujnym lasem liściowym, ale brak wszelkich wygód, brak urządzeń, któreby uprzyjemniły pobyt ludziom ucywilizowanym; nie ma ani literatury, ani orkiestry, ani kuchni odpowiedniej, ani nawet czystego hotelu, jakkolwiek kąpiele te uczęszczane są już od lat trzydziestu!

Na górach serbskich rośnie prawie wyłącznie drzewo liściowe, w południowéj tylko stronie Serbii i to na najwyższych szczytach znajduje się trochę drzew iglastych. Lasy liściowe składają się z rozmaitych gatunków dębu, z buków białych i czerwonych, wiązów, topoli, jesionów, kasztanów i t. p. Lasy te ku pożałowaniu strasznie są przetrzebione, a pustoszenie ich siekierą i napędzaniem bydła trwa jeszcze ciągle, ponieważ dotychczas nie udało się rządowi uorganizować sprężystéj policyi leśnéj. Czas by jednak już był najwyższy do energicznego zaradzenia dalszemu zniszczeniu, jeśli góry serbskie nie mają uledz smutnéj doli siostrzyc swoich dalmackich i czarnogórskich, które raz pozbawione lesistych klejnotów swoich, teraz urągają wszelkiéj kulturze i po większej części stały się niemieszkalnemi. Smutny to jest widok, gdy się napotyka w lesie obalone najpiękniejsze i najsilniejsze drzewa bukowe, gnijące, dla tego, że po ich podcięciu chłop był może za leniwy, aby je zwieść w dolinę, lub że tymczasem znalazł drzewo jakieś lepsze albo bliżéj położone; smutno widzieć jak te nieliczne drzewa potężne, co pozostały, do połowy już są siekierą naznaczone; smutnem wreszcie jest plądrowanie po lesie nierogacizny, która ryje ziemię i pozbawia ją osłony z roślin i mchu, których las do rozwoju swego potrzebuje koniecznie.

Resztę lasów liściowych tworzą ciernie białe i czarne, drzewa kalinowe, orzechowe, lonicerowe, na wschodzie zaś nad jeziorem *Timok* szczególniej, bez turecki, który tu dziko rośnie, podobnie jak w Siedmiogrodzie. Wegetacya to przepyszna, w około której zewsząd wije się bluszcz, chmiel dziki i wino. Obraz to prawdziwie malowniczy, gdy wątłe szczepy winne silną znajdują podporę na cierniu kwitnącym lub krzaku orzechowym dumnie wznoszą się w górę i układają potem zwoje i latorośle w girlandy najcudowniejsze, które powlekają krzew cały i swobodnie kołyszą się w powietrzu. Roślinność tam jest piękną, różnorodną i wspaniałą.

Ogrodownictwo w Serbii jeszcze na bardzo niskim stopniu; są tam wyłącznie prawie ogrody używalne, w których hodują cebulę, czosnek, paprykę, groch, banie, winogrona, śliwki i t. p. Ogrodów kwiatowych daleko mniej, pięknie jednak rosną w nich róże. Belgrad posiada oprócz dwóch pięknych ale niewielkich ogródków obok skromnego pałacu księcia (Konak), dwa jeszcze parki prześliczne; jeden niedaleko gmachu ministerstwa finansów, a drugi tak zwany Kali Megdan przy fortecy, wzdłuż stromego, do 80 stóp wysokiego wybrzeża rzeki Sawy. Stanowią one wcale ładną promenadę, ponad którą sterczą spadziste mury i ozdobne minarety twierdzy starożytnéj, z widokiem na nieprzejrzaną, dziś niestety całkiem pustą dolinę węgierską, w niedziele i święta miejsce przechadzek pięknéj ludności w błyszczących libadach, i raz na tydzień pole popisu dla kapeli wojskowéj. Główna ulica Belgradu, nadzwyczaj szeroka (Teiracia) ozdobiona jest aleą z kwitnących drzew kasztanowych. O pół mili na zachód od Belgradu znajduje się zamek książęcy Topcidere otoczony również pięknym parkiem. Co do zwierząt, w lasach serbskich niedźwiedzi nie ma wcale, wilków zaś napotyka się bardzo rzadko, myśliwy natrafia tylko na sarny, zające i lisy, dużo drobiu, dzikie kaczki i t. p. Idąc lasem często widzi się potrzebę uprzątnięcia sobie z drogi dużych, leniwych żółwi, tak ich tam pełno. Prócz tego widziałem tam także wielką liczbę wężów do trzech stóp długości mających i zapamiętale przez ludność prześladowanych.

U północnego podnóża gór serbskich na przestrzeni mil pięćdziesięciu płyną: Dunaj i wpadająca doń niedaleko twierdzy Belgradzkiej—Sawa. Do Dunaju wpada także rzeka Murawa, oblewająca Serbię w postaci wielkiego łuku od zachodu ku wschodowi, i od południa ku północy. W dolinie utworzonej przez tę rzekę ku południowi wytknięta jest linia kolei żelaznéj, która ma połączyć Wiedeń z Konstantynopolem, a z Konstantynopola do Sofii już jest gotową, tak, iż pozostaje tylko do wykończenia około 20 mil długa przestrzeń od Sofii do Nissy, t. j. do południowéj granicy Serbii, około 30 mil w Serbii saméj i 50 mil odległości z Belgradu do Pesztu. Od wielu lat już tam rozprawiają o tej kolei i zdaje się, że wybudowanie jéj od Sofii do Belgradu, to jest połączenie Belgradu z Konstantynopolem, jest już pewnem, gdy o przestrzeni z Belgradu do Pesztu nic nie słychać.

Projektowi kolei żelaznej belgradzko-nissejskiej przypisują nadzwyczajne znaczenie dla rozwoju ekonomicznego Serbii, ponieważ dolina Murawy i dziś już ma stanowić ważną drogę handlową dla przewozu towarów, szczególniej tureckich. Rząd zamierza zaciągnąć pierwszą pożyczkę, w celu doprowadzenia do skutku téj kolei. Z początku i mnie się zdawało, że kolej ta byłaby dla Serbii bardzo pożądaną, później jednak dokładniej rozważywszy warunki miejscowe, obecny rozwój Serbii it. p. przekonałem się, że ona teraz i w latach najbliższych byłaby tylko pośredniczyła w handlu tranzy-

towym, a saméj Serbii nie na wieleby się przydała,—gdyż brak jest jeszcze księstwu dobrych dróg bitych, po których dowożonoby towary do kolei, i w ogóle kraj ten w danej chwili za mało jest produkcyjnym. Przemysł zaś produkcyjny wcale rozwinąć się nie może bez dróg należytych, i dla tego zdaje mi się, że budowa szos daleko ważniejszą jest obecnie dla Serbii, aniżeli budowa kolei żelaznych. Serbia bowiem posiada do téj chwili około pół mili szosy tylko, t. j. drogę z Belgradu do letniego zamku książęcego Topcidere. Inne drogi są w ten sposób urządzone, że ścieżki gdzieniegdzie są wyrównane i posypane żwirem. Drogi te miejscami i czasami przebywa się bardzo dobrze; po większej części jednak wożenie ciężarów i bryk ładownych po gościńcach nawet jest prawie niemożliwem. Gdzie grunt jest gliniasty, droga mięknie za najmniejszym deszczem, i dopóki nie wyschnie, do przejazdu staje się niezdatną. Oprócz tego niektóre drogi w dolinach górskich poprowadzone są po nad stromemi ścianami opok i po nad przepaściami głębokiemi, są za wązkie i zbyt kręte, by wozy frachtowe po nich przejeżdżać się ośmieliły. Takie drogi nie sprzyjają przemysłowi, i dla tego usiłowania rządu serbskiego, celem sztucznego wywołania przemysłu, są przedwczesne; trzeba najprzód dobrych i dobrze utrzymanych dróg bitych: gdy te będą w dostatecznéj liczbie, przemysł się sam przez się rozwinie i kolej stanie się pożyteczną i pożądaną.

Na poparcie powyższego mego poglądu, dosyć mi przypomnieć, że w Węgrzech i Rumunii istnieje dużo kolei żelaznych, które dla braku pewnych i dobrych dróg bitych pozbawione są odpowiedniego dowozu, nie przynoszą procentu od kapitału zakładowego, a przeto wymagają dopłat rozmaitych i w znacznéj części są przyczyną kłopotów finansowych i upadku kredytu w krajach pomienionych. Żaden kraj nie może bezkarnie przeskoczyć epoki przejściowéj budowy szos i dróg bitych — tak samo Serbii potrzeba wprzód szos, zanim będzie mogła pomyśleć o kolejach żelaznych.

O ZABAWKACH DZIECINNYCH.

(K.J.) Pora obecna jest sezonem zabawek dla malutkich ludzi.

Tradycyjna gwiazdka powagą zwyczaju obowiązuje rodziców do kupowania dzieciom rozmaitych bagatelek, a sklepy i magazyny napełnione są towarami tego rodzaju.

Cały świat lalek, zwierząt, gospodarstw, żołnierzy blaszanych, drewnianych rumaków i t. d., reprezentowany jest w wystawach sklepowych; od najpospolitszéj grzechotki z dzwonkami, do miniaturowéj maszyny parowéj; od kosztownéj lalki mechanicznéj, do potwornie skarykaturowanego Napoleona, któremu dowcip niemiecki każe skakać na nici.

Sądzimy więc że w obecnéj porze, nie od rzeczy będzie poświęcić słów parę lalkom i figielkom, które mają swoją historyę — znaczenie pedagogiczne i ekonomiczne.

Powiedzieliśmy, że zabawki mają swoją historyę — otóż historya ta ciekawą jest bardzo, jako rys obyczajów czasów dawnych, wiekową pleśnią pokrytych. Historya ta jest bogatym materyałem do studyów poważnych; literatura francuzka posiada kilka prac wyczerpująco traktujących ten ciekawy, na pozór bardzo lekki, a w gruncie zaś bardo poważny przedmiot.

Naszym młodym czytelnikom uczącym się historyi, i trudzącym oczy nad czytaniem starożytnych autorów, dziwnem się wyda, gdy im powiemy że poważny Sokrates, mądry Platon i Katon, ten mąż cnoty surowej i powagi, przebiegali w swej młodości ulice Rzymu lub Aten, z grzechotką lub dzwonkami w ręku.

Przyzwyczailiśmy się do tego, iż historya maluje nam zwykle same kolosy, ale też sama historya posiada miniaturki i drobnostki, szacowne jako materyał do badań i studyów.

Wszyscy ci wielcy ludzie, którzy na poważnem tle dziejów występują w długich togach, żelaznych zbrojach, z księgą lub bohaterskim mieczem w dłoni, byli kiedyś małemi dziećmi, bawili się, uczyli i myśleli jak dzieci.

Kornelia przebierała Gracchów za żołnierzy rzymskich, przypasując im do boku drewniane miecze; Arystoteles rzucał kulki posrebrzane i zręcznie je chwytał w powietrzu; Sokrates bawił się dzwoneczkiem; św. Hieronim jeździł na koniu drewnianym; Antygona stroiła i ubierała lalki; a Izaak Newton puszczał bańki z mydła.

Starożytni nie byli większymi mizantropami niż my, a nawet nie byli takimi jak my jesteśmy—kochali swoje dzieci, pieścili je, zabawiali nie szczędząc kosztów na ich edukacyę i rozrywki. Zabawki dziecinne nie małą też u nich odgrywały rolę.

Historycy opierając się na powadze Varrona, Persyusza, św. Hieronima i innych, powiadają iż za świetnych czasów Rzymu, znanemi były kulki srebrne i złote, dzwoneczki miedziane, a nadewszystko ozdobne lalki z drogiego drzewa i kości słoniowéj.

Lalki owe szczególniej pięknemi być miały, tak nawet, że cywilizacya starożytna nie ma czego zazdrościć delikatnym wyrobom dzisiejszego przemysłu; przeciwnie owszem, niejedno dziecko bogatych rodziców, otoczone najpiękniejszemi cackami dzisiejszego świata, mogłoby pozazdrościć dzieciom Greków i Rzymian, ich pięknych i wykwintnych zabawek.

Pomiędzy temi zabawkami najważniejszą rolę odgrywała lalka, i dla tego może starano się, aby ją najpiękniejszą, najkosztowniejszą i najbardziej ozdobną uczynić.

Prawdę powiedziawszy owa lalka nie była dla dziewczyny zabawką dowolną, była ona niejako symbolem wysokiego posłannictwa przyszłéj kobiety. To też gdy dziewczyna dorosła i wychodziła za mąż, wówczas składała swoje lalki w świątyni u stóp posągu bogini Wenus, ofiarując je, dla zjednania sobie łask najpiękniejszej z bogiń i uproszenia szczęścia w nowej fazie życia.

Tym sposobem dziewica składając lalki w świątyni, wyrażała także niejako, że zrywa zupełnie z przeszłością, wiekiem dziecinnym i przyzwyczajeniami do zabaw, i że postanawia w zupełności oddać się nowym dla niej i ważnym zadaniom żony i kapłanki domowego ogniska.

Ofiarowanie lalek, było jednym z powszechnych bardzo u starożytnych obrzędów. Podobne ofiary towarzyszyły zwykle wszystkim ważniejszym zmianom życia, nie zaniedbywano ich też nigdy, szczególniej przy rozpoczęciu nowego zawodu, lub też usuwając się dla wypoczynku od zajęć.

Atleci porzucając swój zawód składali Wenerze swe rękawice i przepaskę, Horacyusz przestając pisać zawiesił lirę na murach świątyni, a rycerze podczas pokoju zawieszali zbroje w świątyni Marsa.

To też nie tylko młode dzieweczki składały swoje lalki na ofiarę bogini, ale i chłopcy dochodzący do pełnoletności, bogom domowym poświęcali zabawki lat dziecinnych, a mianowicie owe kulki srebrne i złote, o których wspominaliśmy wyżéj.

Podług zdania starożytnych, zabawki a szczególniej lalki, były wyłączną wieku dziecinnego własnością, a rodzice nie tylko zaopatrywali w nie dzieci za życia, ale i po śmierci nawet nie rozłączali ich z niemi.

„Idź mój synu, powiada matka, śmierć mi wyrywa szczęście wraz tobą; chcę ażebyś przyszedłszy do krainy błogosławionych, miał czem uprzyjemnić sobie wiek dziecinny, i żebyś nie zapomniał o pobycie między przyjaciołmi na ziemi.“ I z temi słowy matka składała do grobu dziecięcia wszystkie zabawki jego dziecinnego wieku.

Naprzykład w roku 1544 na cmentarzu w Watykanie odnaleziono grób Maryi, córki Stylikona a żony cesarza Honoryusza. Ciało młodéj księżniczki leżało uwinięte w tkaniny złote, a mała skrzyneczka tuż obok leżąca zawierała różne przedmioty, a pomiędzy innemi i małe lalki ze słoniowej kości.

Buonarotti (Michał Anioł) znalazł w katakumbach w grobach św. Kaliksta i św. Persylii, również lalki z kości słoniowéj, co dowodzi, że obyczaje pogańskie zachowywane były jeszcze i przez chrześcian.

Tak więc widzimy, że lalki nie są wynalazkiem nowoczesnym, ale biorą swój początek w odległéj starożytności. Badacze niektórzy kusili się odkryć myśl filozoficzną która kierowała tym pomysłem.

Chcieli oni widzieć w nim (w tym pomyśle) objawienie własnéj doskonałości, które człowiek w duszy swojej posiada, i które panuje w nim silniej nad wszystkie inne uczucia. Podług nich, człowiek dla tego lalkę wymyślił, aby nawet wtedy kiedy zabawą się zajmuje, myśl jego zwrócona była na przedmiot godny siebie, to jest na imitacyę własnéj jego powierzchowności.

Dziewczynki otaczają swe lalki szczególnem staraniem i opieką, pieszczą je, bawią, ubierają, lalka jest ich szczęściem i dumą.

Jak lalki nie są pomysłem nowym, tak też i marionetki, czyli lalki ruchome, przez starożytnych były wynalezione, znano je bowiem w Atenach i innych miastach Grecyi. Widowiska z marionetkami, jakkolwiek przeznaczone były dla dzieci, niemniej jednak zaszczycane bywały obecnością ludzi znakomitych i najzacniejszych obywateli, a taką była ich popularność, że nawet wielcy historycy nie mogli o tem przemilczeć, a poeci i filozofowie szukali w nich porównań do przystępniejszego tłómaczenia swych teoryj i zasad.

Xenofont naprzykład w jednem z dzieł swoich wystawia Sokratesa rozmawiającego z kuglarzem, który marionetki pokazywał.

Marionetki owych czasów odznaczały się dokładnym mechanizmem, i miały być tak zręcznie wyrabiane, że można przypuszczać iż mechanika ówczesna wysoko była rozwiniętą. Znajdowano je również na cmentarzach, a Buonarotti opisuje iż były to figurki z ruchomych części złożone, które sztucznie przytwierdzona nitka wprowadzała w ruch.

O takich marionetkach ruchomych wspomina Herodot, a Horacyusz oburzając się na ludzi chwiejnego charakteru, porównywa ich do owych lalek drewnianych — lub też do frygi, zabawki bardzo lekkiej, obracającej się szybko i wprowadzonéj w ruch za pomocą biczyka.

O marionetkach Arystoteles dosyć szczegółowo mówi, opisując, iż wykonanie ich jest tak doskonałe, że mogą poruszać rękami, głową, ramionami, a nawet oczami, a to wszystko z pewnym wdziękiem i przewyborną harmonią ruchów.

Cardanus posuwa się w opowiadaniu jeszcze dalej; twierdzi on, że widział marionetki przewyższające zręcznością najpierwszych tancerzów!

Sztuka wyrabiania marionetek rozwinęła się najwspanialéj we Włoszech. W żadnym kraju nie przyciągają one tylu widzów co tam.

Tak cenione przez starożytnych owe lalki ruchome wyrabiane były z drzewa lub kości słoniowéj, ale artyści chcieli uwiecznić swe imię w trwalszych wyrobach, i w tym celu robili je ze srebra i złota.

Współczesny Neronowi Petroniusz powiada, że podczas uczty wydanéj przez Trimalciona postawiono na stole figurkę srebrną, o ruchomych członkach, która w obec gości wykonywała rozmaite ewolucye, co naprowadziło gospodarza na smutne myśli, tak iż wyrzekł:

— O nestety! czemże jest człowiek? Niczem—wszyscy będziemy takimi jak ta lalka, gdy nas śmierć z tego świata zabierze.

Nasuwa się pytanie, kto pierwszy lalki wymyślił? Nie ma na to pewnych danych. Jedni utrzymują że pochodzą one z czasów starego Homera, Platon zaś przypisuje ten pomysł Dedalowi bajecznemu mechanikowi dawnych czasów, temu który zbudował salę taneczną dla Ariadny i labirynt dla Minotaura, i którego „posągi poruszały się dobrowolnie“. Inni przypisują to Architasowi z Tarentu, a Plutarch Eudoksyuszowi.

(*D. n.*)

O WIETRZE.

IV.

(Patrz Nr. 47 Ogn. Domowego.)

Wiatry europejskie. Wiatr i deszcz w strefie umiarkowanej. Barometr jako prorok pogody.

Uderzająca prawidłowość wiatrów zwrotnikowych, stateczne wianie passatu i peryodyczna przemiana przeciwnych mussonów ustaje, jak skoro przeniesiemy się w okolice więcéj ku biegunowi zbliżone, tak dalece, iż od dzieciństwa przyzwyczajamy się wiatry uważać za objaw przyrody zupełnie dowolny, przypadkowy, niepodlegający żadnym prawom statecznym. Prądy powietrza przenoszą się już w jedną już w inną stronę horyzontu; niekiedy, przez całe tygodnie płyną w jednym kierunku, to znów w ciągu kilku godzin zaledwie przebiegają wszystkie możliwe kierunki. Chorągiewka na dachu jest u nas słusznie uważaną za obraz zmienności i niestałości.

Nieprawidłowość ta jednak jest tylko pozorną; w przyrodzie nic nie masz dowolnego, nie ulegającego prawom stałym; prawa te istnieją wszędzie, jakkolwiek w jednych zjawiskach dają się odczytać łatwiej niż w innych, gdzie okoliczności drugorzędne zakrywają je i maskują. Do tych okoliczności maskujących należy tu przedewszystkiem niejednostajność w ukształtowaniu powierzchni lądu; wiatr który nad morzami i rozległemi pustyniami przenosi się z jednostajnością rzeki, rozbija się i załamuje, jak skoro na drodze swéj napotyka łańcuchy gór. Ale i w nizinach nawet lasy i domy stanowią zawady dla prądu powietrznego, który posuwać się może niejako tylko przeskokami, znamionującemi walki jego z przeszkodami i zwycięstwa nad niemi odnoszone.

W każdym jednak razie główną przyczyną wszystkich tych nieprawidłowości są owe dwa wiatry zasadnicze, któreśmy poznali jako wytworzone w skutek niejednostajnego ogrzewania ziemi przez słońce; prąd równikowy, wzniesiony w górę silnem działaniem promieni słonecznych, odpływający ztąd w górnych warstwach atmosfery ku biegunom, i prądy biegunowe, sunące po ziemi ku równikowi, dla zastąpienia wydalających się ztamtąd mass powietrza. U nas atoli prąd równikowy nie unosi się po nad biegunowym, jak to ma miejsce w okolicach zwrotnikowych, w miarę bowiem jak ziębnie w większych szerokościach geograficznych, staje się cięższym i obniża się ku powierzchni ziemi, gdzie napotyka płynący w stronę przeciwną prąd biegunowy. Zasadnicze przeto te wiatry nie płyną zawsze w okolicach umiarkowanych, jeden po nad drugim, ale ścielą też łożyska swoje obok siebie, walcząc ze sobą i przezwyciężając się kolejno. Wiatr zwycięzki zyskuje panowanie w jednéj okolicy, a wiatr odepchnięty daje się uczuć w innéj stronie półkuli, tak że cała ta przestrzeń jest podzieloną na pasy, w których przeważa to prąd równikowy, to biegunowy, a w każdym razie po peryodzie krótszym lub dłuższym wiatr pokonany odnosi przewagę i obecność swą zdradza zmianą położenia chorągiewki. Z walki tych wiatrów prawidłowych wynika pozorna nieprawidłowość wiatrów w naszych szerokościach geograficznych.

Wiadomo nam już atoli, że z powodu obrotu dziennego ziemi, na półkuli północnéj wiatr równikowy nie zachowuje kierunku południowego (od południa), ani też wiatr biegunowy kierunku północnego,—pierwszy skręca ku wschodowi i przybywa do nas jako wiatr południowo-zachodni, drugi zwraca się ku zachodowi i staje się północno-wschodnim. Ztąd przeto wiatr południowo-zachodni i północno-wschodni, są głównemi dla Europy wiatrami, z których to jeden, to drugi osiąga chwilową przewagę. Z innych okolic horyzontu przybywające wiatry, są tylko pośrednimi, wieją wtedy, gdy jeden z tych naczelnych kierunków przechodzi w drugi.

Ustępowanie to jednego wiatru drugiemu, jakkolwiek zdaje się zupełnie przypadkowem i nieregularnem, ulega w istocie pewnemu stałemu prawu, które nie uszło już uwagi dawnych bardzo badaczy. Prawo to polega na tem, że kierunki wiatrów następują po sobie zwykle w tym porządku: północny, północno-wschodni, wschodni, południowo-wschodni, południowy, południowo-zachodni, zachodni, północno-zachodni, północny; czyli innemi słowy: wiatr południowo-zachodni przechodzi w północno-wschodni przez zachód i północ, wiatr zaś północno-wschodni w południowo-zachodni przez wschód i południe. Jestto ruch obrotowy odpowiedni temu, jaki dokonywa pozornie słońce, kiedy od wschodu przebiega w ciągu dnia ku zachodowi. Uwagę tę zrobił przed dwoma tysiącami lat Arystoteles: „Kiedy wiatr jeden ustaje, mówi on w swéj *meteorologii*, aby ustąpić miejsca innemu, wiejącemu z okolic sąsiednich, przemiana ta ma miejsce idąc za biegiem słońca“.

(*D. n.*)

TEATR.

„Przed Slubem“ komedya w 5 aktach Kazimierza Zalewskiego,

W ogólności, dzieła sztuki rodzą się z uczuć i namiętności. Barwi je i wznosi wyobraźnia; kształci i opracowuje rozum; skończoność i harmonię szczegółów nadaje im zręczność i wprawa pisarska; znaczeniem towarzyskiem, obyczajowem lub społecznem oraz tendencyą uczciwą i obywatelską za-

opatruje je w drogę—serce autora, tak jak niegdyś rodzice wyprawiając dziecko w świat zaopatrywali je zasiłkiem materyalnym i moralnem błogosławieństwem. Przeczytawszy i zobaczywszy na scenie Teatru Rozmaitości nową sztukę p. Kazimierza Zalewskiego, zadaliśmy sobie, pomimowolnie, pytanie—które z uczuć i jaka namiętność podszepnęła mu myśl do niej i dała pochop do napisania „Przed Ślubem"? Po długiem zastanowieniu się, przyszliśmy do przekonania, że pięcioaktową jego komedyę począł spokój władz umysłowych i chęć stworzenia scenicznego utworu. Rzeczywiście znać w niej wielką równowagę pragnień z możliwością, wielką solidarność środków z założeniem. Uczucie żadne nie grało najskromniejszéj roli w poczęciu dramatycznego dzieła, i literat tylko nakreśliwszy sobie plan dość prosty choć ponętny, wcale udatnie z niego się wywiązał.

Treść sztuki jest następującą. Do przesady śmieszna i samolubna matka przeszastała swój i córki majątek, do czego dopomógł jej niegodziwy brat, opiekun, który w lichwiarski sposób wyzyskał z nich ile tylko wyzyskać się dało. Ażeby załatać majątkowe szczerby, potrzeba sprzedać sierotę—wydając ją bogato za mąż. Zjawia się idiotycznie głupi i nieokrzesany właściciel ziemski p. Klapkiewicz, daje się uwikłać i złapać. Helenka z poddaniem się, godnem lepszej sprawy, bez walki prawie, oddaje mu swoją rękę. Ale przyjaciel domu pan August Nowowiejski, czterdziestoletni i straśnie brzydki stary kawaler, który ma być zupełnie uczciwym człowiekiem, chociaż przez ciąg swego żywota dosyć biernie tylko, próżniactwem, dowcipem i obojętnością świadczył o szlachetności swojej, postanawia wybawić ofiarę, tonącą w ohydnem morzu konwenansowego małżeństwa. Oświadcza się mamie, wujowi a nakoniec córce. Panna przyjmuje rękę nowego konkurenta, oddając mu chętnie swoją. Klapkiewicz odprawiony z kwitkiem zachorował na apopleksyą, czy też uderzenie *próżności* do głowy, dość że zachorował—i to na kilka miesięcy. Tymczasem August rozkochał się na seryo w bogdance... i mimowolnie potroszę, a potroszę rozmyślnie skłonił pewnego młodego i utalentowanego malarza, Antoniego Uszyńskiego, do rozmiłowania się w Helence. Pewny, że równie twarz jego jak garb, nie mogą mu zapewnić długotrwałego kochania, zatem zgodnie i wspaniale ustępuje dzieweczkę temu, którego „swoim" Wan-Dyckiem nazywa i obdarza ich własnym majątkiem. W treść sztuki, wplatają się jeszcze epizodyczne postacie, nauczyciela szkoły w Mławie, a ojca artysty,—i nic nie rzeźbiącego –snycerza Muszkata, ale obie tak mało wpływają na akcyę, że pominęliśmy je w opowiadaniu.

Ten szkielet nie objaśni zapewne czytelników dla czego sztuka sama obszedłszy kilka galicyjskich teatrów z niesłychanemi w *annalach* naszej dramaturgii tryumfami, i w Warszawie gorącemi aplauzami publiczności powitaną została wcale życzliwie. A to dla tego, że cały i główny jéj urok stanowi bardzo misterne obrobienie zwierzchniej szaty, owijającej ten manekin scenicznego szkieletu,—jaki nakreśliliśmy powyżej. Wartość prawdziwa, wartość literacka, wartość artystyczna, leży w nader zręcznem i ze wszech miar pochwały godnem dyalogowaniu, odznaczającem się błyskami stylowemi dobréj szkoły, i dowcipem, który tak sympatycznie i szybko jedna autorowi dramatycznemu słuchaczy. Pod tym względem, w pośród młodych pisarzy, wyjąwszy dziwnie i szczodrze od natury obdarzonego Aleksandra hr. Fredrę (syna), p. Zalewski pierwsze zajmuje miejsce; — bo nawet nasz Józef Bliziński, którego humorystyczna werwa skrzy się iskrami rodzimego, jędrnego, staroszlacheckiego żartu, w ciągu utworu omija nie raz sposobność zrobienia tego co francuzi nazywają *un mot*, a co u niemców *witzem* się nazywa, ażeby tylko komicznością sytuacyi zwyciężyć. Słowem dyalogowa i stylowa strona „Przed Ślubem" jest bez zarzutu i znamionuje wyższego wyrobieniem i starannością pisarza. Po tej, bardzo blizko stoją zalety sceniczne, a są także nie małe. Autor włada ruchem i żywością teatralną, jakby conajmniej z ośm sztuk napisał i wszystkie widział przedstawione. Wprawdzie kunsztowność budowy nieraz przez to jest trochę uszkodzoną, zbyt często powtarzają się sceny we dwie osób, kilka razy trzeci i czwarty działacz z kolei usprawiedliwia się własnemi słowy że musi wyjść za kulisy,—pomimo to ogół dzielnie się trzyma desek, i żywo i nieprzewlekle zdąża do rozwiązania. Rzeczywiście pod onemi dwoma względami zarzut wszelki da się usprawiedliwić i,.. śmiało mógłby być nawet pominiętym. Robiąc go tu, czynimy to tylko z naturalnych pobudek, nie dozwalających nam przez samą przyzwoitość i takt, stanąć w szeregu chwalców *à tout prix*, którzy niezgrabną przysługą, więcéj szkody jak korzyści autorowi przynoszą i narażają się tym sposobem na śmieszność.

Na rozwinięcie i przeprowadzenie charakterów nie zupełnie zgadzamy się z uzdolnionym pisarzem. Matka niepotrzebowałaby być tak strasznie śmieszną i wstrętną zarazem. Klapkiewicz, nawet przypadkiem tylko wpuszczony do dobrego towarzystwa, mógłby choćby dla harmonii ogólnéj, być równie idiotycznym jak jest, ale cokolwieczek więcej dystyngowanym i przyzwoitym. W otoczeniu, w jakiem on ma się znajdować, prędzej by tolerowano grubiaństwa i brak wychowania nawet jakiegoś spanoszałego żyda, posiadającego choć odrobinę manier salonowych, aniżeli szlachcica tej wulkanicznéj lub przedpotopowéj epoki. *C'est l'homme fossile* powiedziałby o nim naturalista. Przyznamy się szczerze że znamy w społeczeństwie szlacheckiem wielu oryginałów, ale indywiduów z tej gliny co Klapkiewicz ulepionych, nigdy się nam spotkać nie zdarzyło. Byłby on zresztą w krotochwili—a nie w komedyi o poważnym nastroju,—wcale udatną i wesołą kreacyą; w „Przed Ślubem" razi i zadziwia. Antoni jest ledwie bladym, konwencyonalnym, teatralnym amantem. Helena idzie z nim—w bezbarwności niewyrozumowanéj i niedostatecznie wytłumaczonéj—w parze. August, wspaniale i artystycznie zarysowany, opracowany z wielką finezyą i smakiem, nosi jednakże na sobie cechy reminiscencyjne. Uszyński należy do mumii, zakatalogowanych w starych i przebrzmiałych wodewilach. Jeden radca jest wybornie pojętym, silnie i jędrnie z początku zarysowanym, zupełnie wziętym z życia, słowem charakterem w całéj pełni tego wyrazu, na nieszczęście tylko, zsunął go trochę autor z jego piedestału wysokości, dodając mu krotochwilne pozory obawy... w *epilogowym* akcie komedyi. Niezawodnie że sytuacye i perypecye stanowią główny urok scenicznego dzieła, ale pod jarzmo ich gwałtem wpychać charaktery, nie godzisię,—tym bowiem sposobem czyni się ujmę prawdziwej godności dramatycznego pisarza i oddaje się ją w zamian za marny oklask tłumu.

Przyznajemy się do tego otwarcie i szczerze: w poczuciu obowiązku i w wyjątkowem osobistem położeniu czerpiąc zachętę, byliśmy surowi w ocenianiu „Przed Ślubem", powiedzieliśmy i wytknęliśmy wszystko co tylko wydało się nam ujemnem i wadliwem, ale teraz dodać musimy, że kto w tak młodym wieku umiał zawładnąć już tak silnie środkami technicznemi, przed tym przyszłość kryje tylko za swą mglistą zasłoną, prawdziwe i wielkie tryumfy. Ten, w jednéj chwili natchnienia, zapału, uniesienia, serdecznéj gorączki, znajdzie pomysł mistrzowski, i wtedy potrafi stworzyć arcydzieło,—dziś zaś zrobił tylko wcale dobrą, sceniczną i zasługującą na teatralne powodzenie, komedyę.

Wykonanie, powierzone pierwszorzędnym siłom teatralnym, było bardzo udatnem. Na pierwszym planie jaśniał jak zwykle wirtuoz słowa, niepospolity Królikowski, a w kontraście nieporównany humorem i obmyśleniem charakteru i charakteryzacyi, oraz tą serdeczną wrodzoną komicznością, utalentowany Ostrowski. Ogół z samych wyższych i wytrawnych artystów złożony, w podrzędniejszych rolach nawet, wcale udatnie dopełniał i zaokrąglał całość widowiska. Reżyserya nie szczędziła starań i dając piękną nową dekoracyę, przekonała że powodzenie oryginalnych sztuk leży jej na sercu, że obowiązek swój spełnia przyjaźnie, życzliwie i ochotnie.

Zyg. Sarnecki.

TREŚĆ NUMERU: **Od Redakcyi.** — **Na mylnej drodze**, powieść przez Krystynę N a r b u t t ó w n ę (c. d.). — **Z podróży po Serbii V.** — **O zabawkach dziecinnych.** — **O wietrze IV.** — **Teatr:** „Przed Ślubem" komedya w 5 aktach Kazimierza Zalewskiego, p. Z y g m u n t a S a r n e c k i e g o. — W odcinku: **U ognisku.** — W dodatku: **Przysięga Debenhama**, ark. 39 i 40.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 7 (19) Декабря 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 63.)

Dopóki jego umysł wahał się, był niespokojny; teraz, kiedy los swój złożył w ręce panny Hardwicke, żadna trwoga nim nie miotała, żadna nadzieja go nie wzruszała. Wiedział, że zawsze dość wcześnie dowie się o jéj postanowieniu, i że jakkolwiek by było, będzie się starał z niem pogodzić.

Siedząc więc przy ogniu, czytał z uwagą drugi tom tłumaczenia Plutarcha, i trafił właśnie na żywot pierwszego Katona.

Tymczasem panna Hardwicke zamiast rozważać czy miała lub nie zostać lady De Benham, musiała przyjmować lorda Stockbridge, ubranego według ostatniéj mody, wyświeżonego, z kamelią w dziurce od guzika, ale trochę czerwonego, gdyż bardzo był ściśnięty w pasie. Rozmawiał jak zwykle z wielką łatwością, mówiąc o pogodzie, o zagranicznych wiadomościach, o operze, o posiedzeniu parlamentu i t. p. Panna Hardwicke odpowiadała jak najzwięźléj, i czekała rychło wstanie i odejdzie.

Wstał niedługo, ale nie żeby odejść, tylko żeby zmienić miejsce, a to nowe miejsce było właśnie tem, które De Benham dopiero co zajmował.

Panna Hardwicke domyśliła się zaraz co ją czekało; może dla tego się domyśliła, że stołek ten bliżéj stał kanapy gdzie siedziała, może dla tego że podobny ten wybór miejsca wskazywał podobny cel, ale w każdym razie przeczuła od razu, że lord Stockbridge chciał wypowiedzieć to, czego od dawna się spodziewała, i razem pojęła że powinna starać się, jeżeli może, nie pozwolić mu spełnić tego zamiaru.

— Przykro mi że muszę być tak niegrzeczną, mylordzie, powiedziała spoglądając na zegarek, ale muszę odejść, gdyż w téj chwili właśnie pewna osoba na mnie czeka.

— Niechaj ta osoba jeszcze trochę zaczeka, droga pani, odrzekł nadskakująco. Mam kilka słów do wypowiedzenia, na które od tak dawna zbieram moją odwagę, że jeżeli teraz ich nie powiem...

— Zdaje mi się, że lepiej nie mówić tego, czego wypowiedzenie wymaga tyle odwagi, przerwała panna Hardwicke.

— Czasem, nie zawsze, i nie w tym razie. Jeżeli mam prawdę mówić, życzyłem sobie to wyznanie uczynić od téj niedzieli, kiedy pani przyniosłem zaproszenie od lady Tollemache, to jest... zaraz... to jest temu siedm czy ośm miesięcy...

— Jestem pewna że lepiéj będzie nic nie mówić, mylordzie, powtórzyła panna Hardwicke z naciskiem.

— Nie bronisz mi przecież pani mówić?

— Nie; proszę tylko.

— Ale przecież...

— Nie wątpię że słowa te byłyby łaskawe, przyjacielskie i pochlebne; jestem tego pewną.

Lord Stockbridge zmarszczył się i silny rumieniec okrył mu twarz.

— Nie możesz zapewne przypuszczać że... cię kocham, powiedział po chwili.

— Życzę sobie zachować twoją przyjaźń, mylordzie, i spodziewam się że mojéj nie odrzucisz.

— Przyjaźń! powtórzył z goryczą. Proszę o chleb a pani kamień mi dajesz.

— Ale przyjaźń jest drogim kamieniem, brylantem najczystszéj wody.

Lord Stockbridge wstał zniecierpliwiony i poszedł do okna.

— Jest to tylko czcze gadanie, powiedział prawie z gniewem. Ja ciebie chcę, *ciebie* Klaudyo, a nie twojéj przyjaźni. Powiedziano ci zapewne że jestem utracyuszem... to prawda. Powiedziano ci, że jestem dwa razy starszy od ciebie... i to być może. Ale cóż z tego? Byłem ubogim całe życie, zmuszony żyć z przyszłości, odebrałem wychowanie i miałem zwyczaje człowieka bogatego. Cóż miałem robić, jeżeli nie długi? Ale czy myślisz że je robiłem dla tego, że mi to przyjemnie było? Czy myślisz że byłbym się wdawał z temi przeklętemi żydami gdybym był mógł inaczéj się ratować? Nie, nie, panno Hardwicke. A co do wieku, jestem przecież jeszcze w całéj jego sile, dobrze się trzymam na koniu, ręka mi nie zadrży kiedy strzelam z pistoletu, albo gram w bilard...

— Doprawdy, mylordzie...

— Nie, nie, daj mi pani dokończyć. Każdy ma prawo żądać żeby go wysłuchano, jakkolwiek małe są jego nadzieje, chyba że dawno już twa ręka innemu jest obiecaną, ale zdaje mi się że nie jesteś w tym przypadku.

— Nie, jestem jeszcze wolną.

— Jakże więc nie mam mieć nadziei? Jesteś wolną, a ja ciebie kocham panno Hardwicke, nie mam słów do wypowiedzenia jak ciebie kocham. Nie ma na świecie człowieka któryby więcéj gotów był zrobić żeby ci się przypodobać; świat obszedłbym cały dla ciebie. A co do pieniędzy, wiem naturalnie że jesteś bogatą, jak ty wiesz że ja mam długi; ale nie znam cyfry twego majątku, tak jak nie znam cyfry moich długów, i jestem gotów działać jak człowiek honorowy, szlachetnie. Na moje słowo, panno Hardwicke, nie mogę myśleć żebyś chciała być tak okrutną.

— Okrutną nie jest to stosowny wyraz, mylordzie. Nie kocham ciebie, i nie zdaje mi się żebym kiedy mogła ciebie kochać. Nie jestto okrucieństwem ale po prostu prawdą, któréj, wierz mi, wolałabym była nie wyznawać przed tobą.

Lord Stockbridge zagryzł usta, przeszedł przez pokój i powrócił.

— Ale jest jeszcze inna strona téj sprawy, powiedział. Miłość nie jest jedynym względem; stanowisko także coś znaczy, tytuł...

Panna Hardwicke powstała.

— Dosyć tego, mylordzie, powiedziała z wielką godnością; dosyć, błagam ciebie. Nie wypada ci więcéj nastawać, ani mnie dłużéj słuchać. Nie mogę przyjąć twéj ręki; jest to niepodobieństwem, ale ci dziękuję za zaszczyt jaki mi uczyniłeś, i proszę cię, abyś chciał uważać tę rozmowę za niebyłą. Ja o niéj zapomnę, jeżeli ty to samo uczynisz.

Potrząsł głową.

— Nie, powiedział ponuro, nie mogę o niéj zapomnieć, bo nie mogę o tobie zapomnieć.

Wziął za kapelusz.

— Gdybym może zaczekał, wytrwał...

— Nie, byłoby to nadaremnie.

— Postanowienie to jest więc stanowczem?

— Zupełnie.

Lord Stockbridge stał jeszcze chwilę, na pół gniewny, na pół upokorzony, jak gdyby nie wiedział w jaki sposób się z nią rozstać; nareszcie, powściągając swe uczucia, powiedział z wysileniem:

— Racz pani przyjąć najszczersze moje życzenia; skłonił się nizko nad ręką którą mu podawała, lekko jéj się dotknął ustami i wyszedł.

Panna Hardwicke poszła do okna, i ukryta za firanką patrzała jak odrzucony konkurent wsiadał na konia i odjeżdżał.

Zostać jego żoną! Zdawało jéj się że gdyby był udzielnym księciem, nie byłaby mogła zostać jego żoną. A jednak, a jednak... był czas, i to nie tak dawno, gdzie byłaby się wahała, nimby mu odmówiła ręki, gdzie nawet nie byłaby mu jéj odmówiła. Ale dzisiaj... jakże mogła dotąd nie uważać tego wyrazu zmęczenia, przesycenia wszystkiem, tych zmarszczek naokoło oczów i ust? Zadrżała myśląc, że parę tygodni wprzódy byłaby zapewne go przyjęła. Potem włożyła kapelusz, podniosła amazonkę i prędko zeszła do ogrodu.

De Benham, doszedłszy prawie do połowy żywota Katona, widział jak przechodziła pod oknem, położył książkę na swoje miejsce i wyszedł.

— Przepraszam, powiedziała, że cię tak długo samego zostawiłam, mylordzie; gość mój nie chciał odejść.

— Gotów byłem i jestem jeszcze czekać jak długo będzie się pani podobało, odrzekł De Benham.

To powiedziawszy zamilkł; nie wiedział co daléj mówić; zdawało mu się że drugi raz musi się oświadczać.

— Lękam się prawie, powiedział nareszcie, dowiedzieć się o moim losie.

Coś nieokreślonego, coś co nie było ani czułością, ani zapałem, ale jakby chwilowym wznioślejszym wyrazem, ożywiło rysy panny Hardwicke.

— Razem dźwigniemy sławę Benhampton, powiedziała spoglądając na niego.

De Benham wziął jéj rękę jak lord Stockbridge ją wziął, i jak lord Stockbridge nachylił się nad nią, ale jéj nie pocałował.

Przechadzali się potem przez jakiś czas po alejach ogrodu, pomiędzy klombami ogołoconemi z kwiatów, rozmawiając, nie jak kochankowie którzy dopiero co wspólną wiarę sobie obiecali, ale o zamku, o dobrach, o odnawianiu, o panach Balfour i Black i o panu Morley Durrant.

Kiedy się rozstali, brylant dawniéj należący do senatora Shirley, błyszczał na trzecim palcu lewej ręki panny Hardwicke. Czy De Benham kładąc go na ten palec, przypomniał sobie ten drugi pierścionek, po który, zaledwie dwa lata temu, chodził do Monmouth wraz z Arczybaldem, tkliwe obietnice towarzyszące temu nie wykwintnemu darowi, nadzieje jakich był godłem, radosne godziny, sielankowe chwile, poezyę i namiętność téj pierwszej miłości?...

ROZDZIAŁ XIX.

Im prędzej tem lepiej.

Następne dni przeszły w takim zamęcie interesów, wizyt, powinszowań i listów, że De Benham nie miał czasu myśleć ani o życiu jakie za sobą zostawiał, ani o przyszłości rozciągającéj się przed nim. Powtarzał sobie że czas namysłu minął, a nadszedł czas działania. Obrawszy więc drogę, szedł naprzód z gorączkowym pośpiechem, naturalnym u większéj części ludzi, ale dziwnie się różniącym od spokoju z jakim dawniéj przeprowadzał swe zamiary. Naglił swych prawników do ukończenia układów o kupno Benhampton

a architekta o udzielenie planów i kosztorysów; rozpoczął kroki potrzebne dla udowodnienia swych praw do parostwa. Drażliwy, niecierpliwy, niespokojny, zdawał się zazdrościć każdéj godziny oddzielającéj go od urzeczywistnienia jego zamiarów. Było to postępowanie człowieka mierzącego swe siły z potęgą czasu i lękającego się żeby go czas nie ubiegł. Wszystko to niedługo zostało spełnionem. Stał się panem Benhampton jak tylko zdecydował się zapłacić żądaną summę. Dużo słyszał o opieszałości prawa, ale téj opieszałości nie doświadczył; zdziwił się nawet z jaką łatwością dobra mogły przechodzić w inne ręce, i jak z niewielu formalnościami Benhampton stało się jego własnością. Panowie Balfour i Black wypłacili 35,000 funtów w imieniu swego klienta; panowie Clint i Wall odebrali je w imieniu egzekutorów testamentu i dziedziczek ś. p. Mateusza Bowstead; p. E. Black pojechał do Monmouth z pieniędzmi i powrócił z tytułem własności i wszystko było skończonem. Zdawało się De Benhamowi że równie łatwo kupił ten stary zamek jak parę rękawiczek.

Tymczasem nie małą było mu pociechą widzieć, że obydwie osoby zajmujące się jego i panny Hardwicke losem, z życzliwością patrzały na ich połączenie. Matka doznała przyjemnego zdziwienia gdy pierwszy raz ujrzała przyszłą synowę, nie była nieczułą na korzyści wypływające z wielkiego majątku i pochwalała wybór De Benhama. Można było kobiecie pięknej, rozumnej i mającej 250,000 funtów majątku, darować niższe urodzenie. Zresztą, jej syn nie miał się już wystawiać na niebezpieczeństwa dalekich wypraw, słuchać cudzych rozkazów, brać cudze pieniądze; a matka przedewszystkiem pragnęła, żeby De Benham już nie plamił swych rąk trudniąc się handlem i żeby żył spokojnie i bezpiecznie w domu. Co do pana Hardwicke, dumny i uradowany z udziału jaki miał w przyszłem małżeństwie siostry, był w siódmem niebie zadowolonej pychy.

— Klaudya była dla mnie więcej jak siostrą, powiedział, kiedy De Benham przyszedł nazajutrz do niego, do kantoru. Była mi przyjaciółką, dla któréj zdolności mam największe uszanowanie, jak dla jej charakteru mam najwyższy szacunek. Czuję cały zaszczyt tego związku, dumny jestem że będę skoligacony z tak dawną i szlachetną rodziną, ale moja siostra nie jest zwyczajną kobietą, i gdybyś, mylordzie, był cesarzem, nie znajdowałbym żeby Klaudya Hardwicke była niegodną twej ręki.

— Gdybym był cesarzem, panie Hardwicke, odpowiedział De Benham, czułbym się równie szczęśliwym jak teraz.

Pan Hardwicke się skłonił.

— Nigdy dla siebie nie pragnąłem dostojeństw, powiedział. Mój podpis jest znany i szanowany na całej przestrzeni gdzie rozciąga się panowanie Wielkiej Brytanii, i to mi wystarcza; ale wyznaję że przykroby mi było, gdyby moja siostra nie zrobiła świetnego małżeństwa.

— Panna Hardwicke stworzoną jest do ozdobienia najwyższego stanowiska, odrzekł De Benham z trochę wymuszoną grzecznością.

— Tak jest, i nie ty jeden, mylordzie, ofiarowałeś jej to, co zdaje się jej należeć.

— Doprawdy, za tem szczęśliwszem muszę się uważać.

P. Hardwicke drugi raz się ukłonił.

— Spodziewam się że panna Hardwicke nie będzie chciała opóźniać dnia ślubu, powiedział De Benham.

— Nie sprzyjam bynajmniej długim oczekiwaniom, odpowiedział kupiec.

— Nie będziemy się różnić, spodziewam się, co do intercyzy, ciągnął dalej De Benham. Majorat musi naturalnie być utworzony, ale chętnie widziałbym większą część majątku siostry pana, jej i jej młodszym dzieciom zapewnioną. Zarazem życzyłbym sobie powiększyć o ile można dobra Benhampton, które dotąd właściwie składają się tylko z zamku i z parku.

— Chciałbyś, mylordzie, żeby za większą część majątku Klaudyi nabyć dobra, któreby zostały zapewnione starszemu jej synowi.

— Tegobym pragnął.

— Nic nie może być sprawiedliwszem i rozsądniejszem.

— Mam zawsze nadzieję, powiedział De Benham, że panna Hardwicke zechce czas mojej próby uczynić jak najkrótszym.

— Potrzeba jednak trochę czasu dla lepszego poznajomienia się.

— Nie zdaje mi się to potrzebnem. Ludzie nigdy rzeczywiście się nie znają przed ślubem. Panna Hardwicke i ja jesteśmy oboje charakteru skrytego, zamkniętego w sobie, i nie lepiejbyśmy się znali po trzech latach, jak po trzech tygodniach.

Pan Hardwicke się uśmiechnął, ale nic nie mówił.

— Chciałbym abyś się pan za mną wstawił, powiedział De Benham.

— O nie! jestto sprawa do któréj nie mogę się mięszać, a zresztą mylordzie, nie powinieneś być zanadto niecierpliwym.

— Muszę być niecierpliwym, rzekł ponuro De Benham.

— Ale kobiety nie lubią żeby je tak naglić; i wprawdzie mają prawo używać jak najdłużéj tych przedślubnych czasów, najrozkoszniejszych z całego ich życia.

De Benham spuścił oczy, zagryzając w milczeniu wąsy.

— Będę otwartym z tobą, panie Hardwicke, powiedział. Nie jestem z ludzi piszących wiersze do pięknych oczów kochanki; jestem owszem prozaicznym konkurentem i zdaje mi się że nie wielkie uczynię postępy w przywiązaniu panny Hardwicke, dopóki nasze interesa i życie nie będą złączone. Wierz mi, im prędzej się pobierzemy, tem lepiej będzie dla nas obojga. Zresztą, nie... nie jestem bardzo silny; zanadto pracowałem, i zanadto także jestem kłopotami przygnębiony. Gdyby twoja siostra chciała się nademną zlitować i położyć koniec mojej niepewności...

— Zdaje mi się że to uczyniła, kiedy ciebie przyjęła, mylordzie, przerwał pan Hardwicke.

— Po części tak; ale czuję że potrzebuję zmiany powietrza, zmiany myśli.

— Zdaje mi się że nigdy nie dozwoliłeś twoim siłom powrócić zupełnie po tej gorączce, rzekł p. Hardwicke, a, oprócz gorączki, byłeś ranny.

— O, rana była niczem, ale jak pan mówiłeś, byłem zanadto zajęty żeby zupełnie zdrowie odzyskać.

— Jednak temu kilka dni niechciałeś przyznać żebyś był chorym.

— I nie jestem chorym, tylko osłabionym i zmartwionym. Gdybym jednak mógł namówić pannę Hardwicke do przyśpieszenia ślubu, moglibyśmy wyjechać zaraz za granicę na wiosnę i lato, zostawiając robotników pracujących w Benhampton. Byłby to dobry uczynek, panie Hardwicke, bo nigdy nie wyzdrowieję dopóki będę w Londynie.

— Przedstaw twoją sprawę w tem świetle, mojéj siostrze, mylordzie, i nie wątpię że zwyciężysz.

Ścisnęli się za ręce i rozstali.

Tego dnia, lady De Benham zrobiła rzecz któréj nie uczyniła od pierwszych lat po zamążpójściu. Oddała wizytę. Ubrała się w najlepszą czarną jedwabną suknię, posłała po powóz i kazała się zawieść do panny Hardwicke. Panna Hardwicke zdziwiona i rozczulona tą niespodziewaną uprzejmością osoby, rzadko kiedy, jak wiedziała, przestępującej próg swego domu, przyjęła ją z największym wdziękiem, i lady De Benham, pocałowawszy ją w czoło i pobłogosławiwszy ją uroczyście, powróciła do domu lepiéj niż kiedykolwiek usposobiona względem niej.

— Musimy jutro oddać wizytę, Klaudyo, rzekł p. Hardwicke, gdy powrócił z City parę godzin później; wcześniej opuszczę kantor, i musimy ją zaprosić na obiad na piątek lub sobotę.

— Nie będzie chciała przyjść, odpowiedziała panna Hardwicke.

— A jeżeli ją poprosimy żeby sama dzień oznaczyła i poszlemy po nią powóz?

— Możemy ją prosić żeby sama dzień oznaczyła, ale jestem pewna że nie powinniśmy ofiarować jej powozu.

— Myślisz żeby się obraziła?

— Myślę że lady De Benham jest... lady De Benham. Zrozumiesz całą siłę tego określenia kiedy ją zobaczysz.

— Czy podobny do niej?

— Może trochę, ale niewiele.

— Prosiłem go dzisiaj na obiad, ale miał się widzieć ze swoim architektem o ósméj, i nie mógł przyjść. Nie zaniedba on nigdy swoich interesów, Klaudyo.

— Muszę dopiero odkrywać wady lorda De Benham, powiedziała lekko się uśmiechając, ale zdaje mi się że brak energii nie będzie jedną z nich.

— Źle wygląda, powiedział pan Hardwicke po chwili. Powtarzałem mu to ciągle, ale dopiero dzisiaj przyznał się do tego; teraz powiada że potrzebuje spoczynku i zmiany powietrza.

Panna Hardwicke podniosła oczy ale nic nie powiedziała.

— Chciałby żeby się ślub niedługo odbył, ciągnął dalej kupiec.

— Doprawdy! rzekła zimno panna Hardwicke.

— Powiada że gdybyś na to przystała i gdybyście wyjechali na wiosnę i lato za granicę, byłby zaraz zdrowszym, a w Londynie nie może sił odzyskać.

I zapominając o postanowieniu nie mięszania się w tę sprawę, p. Hardwicke zaczął się wstawiać za De Benhamem, daleko otwarciej i silniej niż De Benham byłby sam śmiał uczynić.

— Prosił cię zapewnie żebyś to wszystko powiedział, rzekła Klaudya.

— Tak... prosił mnie żebym za nim przemówił, przyznał p. Hardwicke.

Siostra się uśmiechnęła trochę pogardliwie.

— Jesteś doskonałym adwokatem, powiedziała, ale zapomniałeś użyć najważniejszego powodu

— Jakiegoż.

— Pieniądze. Lord De Benham, jak widzisz, nie śmie zaczynać większych wydatków, dopóki nie rozporządza moim majątkiem. Wierz mi, że tak jest; sam mi to mówił, bo otwarcie sobie ze mną postąpił.

— Czy przystaniesz więc na jego prośbę?

Panna Hardwicke namyśliła się nim odpowiedziała.

— Przyjęłam lorda De Benham, rzekła bardzo wolno, z zamiarem zespolenia jego celów z mojemi, jego interesów z mojemi. Uczy-

nię więc wszystko co jest potrzebnem dla tych celów i interesów.

— Są to szlachetne słowa, moja Klaudyo.

— Ale sam musi za sobą przemówić.

— O! bez wątpienia.

I pan Hardwicke z uroczystą pompatycznością jemu właściwą, ale z prawdziwem uczuciem, wziął siostrę za rękę i powiedział:

— Przekonany jestem że jest godny ciebie, Klaudyo. Interesa, jak wiesz są niezłą próbą, a pod tym względem zupełnie wypróbowałem tego młodego człowieka; jest prawym, akuratnym, skrupulatnie sprawiedliwym, jednem słowem, człowiekiem honorowym.

— Jednem słowem, gentlemanem.

— Tak jest, i spodziewam się, droga siostro, że cię uszczęśliwi.

Panna Hardwicke rzuciła na brata wejrzenie pełne przywiązania, ale trochę smutne.

— Od wieluż to lat szczęście moje jest najpierwszą twoją troską! powiedziała; ale dzwonią, czas iść się ubrać na obiad.

ROZDZIAŁ XX.

De Benham robi testament.

Rzecz była zrobiona, skończona. Przez kilka dni po zaręczynach z panną Hardwicke, De Benhamowi zdawało się że jest we śnie. W kilku chwilach, za pomocą kilku słów, dopiął celu swego życia. Pragnął bogactw, i niedługo wielkie bogactwa miały do niego należeć; przysiągł odkupić Benhampton, i był panem Benhamptonu; wszystko to czego żądał zostało spełnione, wszystko czego się dotknął zamieniło się w złoto. Był jak ten podróżny, który myśląc że zaledwie pół drogi przebył, znajduje się u szczytu góry z szerokim krajobrazem u stóp swoich. Staje zadyszany, zaledwie może uwierzyć że nie potrzebuje wyżej się piąć, żałuje prawie że tak prędko stanął u celu i że zapał drogi już minął.

Tak też De Benham znalazł się nagle u szczytu swej ambicyi, pytał się siebie czy nie było to wszystko marzeniem, wzdychał, myśląc że gorączka bitwy już przeszła i że zwycięztwo zostało zdobyte po tak krótkiej walce.

Tymczasem świat nazwał go najszczęśliwszym z ludzi i nie przepominał żadnej sposobności wynurzenia przed nim tego zdania; ale pomiędzy temi którzy mieli sobie za obowiązek złożyć mu swe powinszowania, żaden tego nie dopełnił tak serdecznie jak Arczy Blyth. Był więcej jeszcze uradowany od pana Hardwicke, ale miał też do tego osobiste powody. Szczęśliwym był że kuzynka jego, majątkiem swoim obdarzała jego przyjaciela, i nie mniej szczęśliwym, że przyjaciel tytułem swoim miał ozdobić kuzynkę; cieszył się także że De Benham i on tym związkiem spokrewnieni zostaną, ale najmilszem mu było, że małżeństwo to było faktem, z którego skutków on sam mógł korzyści wyciągnąć.

Jeżeli, jak sobie mówił, De Benham wygnał z serca tę miłość jaką dawniej doznawał dla Julii Albyne, czyż nie dobrzeby było żeby ona o tem z pewnością wiedziała, i żeby dowód był jak najoczywistszym. Był aż nadto pewnym że jego jeszcze kochała, i że żyła wspomnieniem jego miłości, ale czyż pozwoli sobie myśleć jeszcze o nim i o przeszłości, gdy inną zaślubi? Czy wtedy nie pozna, że jej obowiązkiem jest o nim zapomnieć? czy wtedy nie postara się o wyrwanie z serca swego, pomimo łez i srogiego bólu, wszystkich tych wspomnień? A wtedy, ale nie wcześniej (było to pytanie, które Arczy ciągle od kilku dni sobie zadawał) czy nie zaświta dla niego pierwszy blask jutrzenki nadziei?...

Czekając więc, dziwiąc się, ciesząc się nadzieją, powitał wiadomość o przyszłym ożenieniu De Benhama, i z niecierpliwością oczekiwał dnia ślubu.

— Jestto właśnie związek który oddawna dla ciebie układałem, powiedział. Marzyłem że zostaniesz znanym na całym świecie kompozytorem, że będziesz może jakim orderem ozdobiony, i że Klaudya zakocha się w twojej sławie a ty w jej piękności. Mówiłem ci to nawet, ale myśl moja ci się nie podobała.

Było to po południu, w pierwszą niedzielę po zaręczynach De Benhama, i ten ostatni przyszedł do Arczybalda oznajmić mu o nich. Narzekając że był bardzo zmęczony, De Benham leżał na kanapie, paląc albo raczej udając że pali cygaro, a Arczy, w szlafroku i pantoflach, siedział przed kominkiem, gęste kłęby dymu wypuszczając z głowy Turka.

— Powiedziałeś że wolałbyś ożenić się z głową Meduzy albo z posągiem Minerwy, dodał, widząc że De Benham nic nie odpowiadał.

— Spodziewam się żeś mnie wyłajał jak się należało za takie wysłowienie się o twojej kuzynce.

— Lepiejbym zapewne zrobił nie przypominając tego, kiedy ma zostać twoją żoną. Ale widzisz, niedobrze jeszcze to pojmuję, tak to wszystko dziwne i nadzwyczajne. Powinienbym jednak przyzwyczaić się do nadzwyczajności.

— Spodziewam się, że zdziwienie jakie ci sprawiłem było zawsze przyjemnem, rzekł De Benham.

— Tak, po większej części. Było to bardzo przyjemne zdziwienie, kiedy stary Jakób, już postąpiwszy mi wprzódy pensyi, oddał mi, temu kilka dni, weksel na pięćset funtów; dzisiejsza wiadomość, jaką mi przyniosłeś, jest mi jeszcze przyjemniejszą; nie umiem ci powiedzieć jak się nią cieszę; ale największego zdziwienia doznałem kiedy się dowiedziałem że jesteś lordem i wielkim panem. Do tego jeszcze się nie przyzwyczaiłem.

— Nie masz się do czego przyzwyczajać Arczy, powiedział De Benham, uśmiechając się; dla ciebie nigdy lordem nie będę.

Arczy potrząsł głową.

— Nic nie poradzisz na to; tak jest, odpowiedział.

— Możesz na to nie zważać, tak jak i ja. Jesteśmy przyjaciołmi, braćmi, kolegami; dzieliliśmy tyle niebezpieczeństw i przyjemności; tytuł nie może pomiędzy nami stanąć. Czyż to że jestem lordem tworzy jaką różnicę dla ciebie?

Arczy znowu potrząsł głową.

— Jestto wielka różnica dla ciebie, a przez to i dla mnie, rzekł. Jesteś wielkim panem, niedługo będziesz bardzo bogatym, będziesz mieszkał w wspaniałym zamku, będziesz miał dużo służących, odwiedział i przyjmował znakomitych ludzi, będziesz prawie udzielnym panem, jak twój wielki książę w Niemczech. A czemże ja jestem? urzędnikiem w kantorze kupca; jeżdżę omnibusami, chodzę na najtańsze teatra, nigdy dwudziestu funtów nie miałem w kieszeni, a teraz kiedy ich pięćset posiadam, zdaje mi się żem bogaty. Czyż niema różnicy pomiędzy nami?

De Benham podniósł się i rzucił cygaro.

— To wszystko prawda, dla świata, powiedział, ale nie dla mnie ani dla ciebie. Jesteś moim jedynym przyjacielem, i nie mogę cię stracić, tem bardziej że teraz będziesz moim kuzynem.

— Pokrewieństwo nie wiele pomaga do zgładzenia społecznych różnic, powiedział Arczy śmiejąc się. Ciekawym czy pomimo niego, Hardwickowie mieli mnie kiedy za równego sobie.

— Chciałbym cię widzieć także ożenionym i szczęśliwym, Arczy, powiedział nagle De Benham.

— Ożenionym?

— Tak; gdybyś mógł znaleźć dziewczynę któraby ci się podobała, ale dotąd żadna prócz Joanny Ashby nie była tak szczęśliwą.

Arczy był bardzo zakłopotany.

— Joanna Ashby jest bardzo miła, powiedziałem, ale od czasu jak jej nie widziałem, nie myślałem już o niej; zresztą nie mogę się żenić dopóki się nie będę lepiej miał. Miłość w chatce nad strumykiem nie uśmiecha mi się.

— Musisz w saméj rzeczy zaczekać, dopóki położenie twoje się nie polepszy, i na zagospodarowanie powinienbyś mieć jaki kapitał. Co myślisz zrobić z twojemi pięciuset funtami?

— Oddam je do banku.

— Pożycz mi je, jeżeli chcesz.

Arczy skoczył do starego biórka gdzie chował różne skarby, jak listy, fajki, tytuń, perfumy, rachunki i t. d., otworzył go i wyjął pakiecik nowiuteńkich biletów bankowych.

— Oto są! powiedział, rozkładając je na stole; dziesięć sztuk po pięćdziesiąt; ani grosza nie wziąłem.

De Benham włożył je do pugilaresu.

— Umieszczę je na twoje imię na mojej części w wyprawach Ptaka Burzy, powiedział, i spodziewam się dwa razy je podwoić.

— Miałem nadzieję że ich potrzebowałeś dla siebie, na twoje wydatki w Benhampton! zawołał Arczy z wymówką.

— To na jedno wychodzi. Będę miał pięćset funtów więcej na Benhampton, jeżeli pięćset mniej poświęcę na spekulacye.

— Ale gdyby znów się nie szczęściło Ptakowi Burzy?

— Nic na tem nie stracisz. Tak byłem pewny że mi dasz te pieniądze i że będę mógł w czwórnasób je pomnożyć, że przyniosłem kwit gotowy na dwa tysiące funtów; tym sposobem zabezpieczony jesteś od wszelkiej straty, gdyby nieszczęście mnie lub okręt dotknęło.

— Nie mogę tego wziąść, rzekł Arczy czerwieniąc się. Jesteś wspaniałomyślnym jak książę jaki, mylordzie, ale ja nie mogę tego kwitu wziąść.

— Na miłość boską! mój drogi, nie nazywaj mnie tak, bo będę myślał że cię obraziłem.

Arczy zaręczał że nie był obrażony, że owszem czuł się obowiązanym i wdzięcznym, ale że nigdy w świecie nie przyjmie kwitu przypisującego mu tysiąc pięćset funtów więcej niż posiadał.

De Benhamowi przykro się zrobiło.

— Jak chcesz! powiedział z wyrazem znużenia; muszę więc jakiś inny sposób znaleźć.

Wstał żeby odejść.

— Kiedy będzie ślub? zapytał Arczy idąc za De Benhamem po schodach.

— Bardzo niedługo, spodziewam się; może w przyszłym miesiącu. Będziesz moim drużbą?

— Naturalnie, jeżeli sobie tego życzysz, odrzekł Arczy.

Podali sobie ręce i rozstali się.

De Benham zatrzymał się chwilę kiedy się drzwi za nim zamknęły, i przycisnął rękę do boku, jak gdyby cierpiał. Rzadko teraz widywał Arczybalda, zaledwie raz lub dwa spotkał go od czasu wielkiego obiadu u Hardwicków, i jeżeli obejście przyjaciela było już wtedy, był zanadto zajęty żeby tego dostrzedz, ale dzisiaj ujrzał tę różnicę i boleśnie ją uczuł. Niewidoma zapora wzniosła się pomiędzy Arczybaldem i nim; podawali sobie ręce jakby po nad przepaścią, i dawne przyjemne uczucie swobody zniknęło. Ale dla czegoż tak się stało i zkąd się wziął ten przymus? Nie przypominał sobie żeby zrobił lub powiedział coś, coby mogło przyjaciela obrazić, tyl-

ko różnica położenia mogła zmianę tłomaczyć. I myślał sobie z goryczą, że ta przyjaźń którą tak cenił, którą chciał zawsze zachować, w której chciał całe życie znaleźć pociechę, musiała także być poświęconą jak wszystko inne. Była to część zapłaty jaką musiał złożyć. A jakaż to była zapłata? Naprzód sztuka, potem miłość, potem wolność, a teraz przyjaciel. Czegoż więcej mógł się wyrzec, jeżeli nie życia?

— Gdy tak myślał i wolno postępował De Benham, ujrzał przed sobą kapitana Ptaka Burzy, idącego się pożegnać z Arczybaldem i mającego nazajutrz wyjechać z Liverpool.

— Chciałem u ciebie być jutro rano, mylordzie, powiedział, i jak wszyscy złożył mu swoje powinszowania.

De Benham nie był w humorze, w którym powinszowania mogły mu być przyjemne.

— Byłbym chętnie wprzódy jeszcze raz z wami na taką wyprawę się puścił, powiedział; byłbym chętnie przechadzał się po pokładzie Ptaka Burzy i z nim przepłynął wał pod Charleston.

Kapitan się uśmiechnął.

— Wygodniej ci będzie siedzieć, mylordzie, powiedział, na twojem krześle w Izbie Parów.

— Gdziekolwiek będę, często będę was wspominać, kapitanie Hay.

— Wspomnij o nas, mylordzie, kiedy dzwony się odezwą na twój ślub, i pomyśl wtedy że może właśnie uchodzić będziemy przed pogonią amerykańską. Do widzenia, i racz przyjąć moje życzenia dla ciebie i dla twej ślicznej narzeczonej.

— A ja wam życzę szczęścia i powodzenia.

Rozstali się i nigdy już się nie spotkali. Kapitan Hay nazajutrz opuścił Liverpool na Ptaku Burzy, w towarzystwie nowego nadzorcy ładunku, w osobie pana Arczyfora Knott, siostrzeńca wiernego Tymoteusza, i prosto popłynął na wyspy Bahama, robiąc z Nassau środkowy punkt swoich wycieczek jak wprzódy. Blokada Charleston tak ogólnie ścisłą stała się, że raz szczęśliwie się przedarłszy tam i nazad, kapitan przeniósł się do Ś-go Jerzego, na wyspach Bermudzkich, i wycieczki swoje kierował ku Wilmington. Przez szesnaście miesięcy tak mu się udawało, i dziewięć razy z tryumfem wpłynął i wypłynął z Wilmington; za dziesiątą podróżą, szczęście mu się przeniewierzyło. Okręt, 24 lipca 1863 opuścił przystań Ś-go Jerzego i kiedy już do kresu podróży dopływał, był ujrzany i ścigany przez dwa federalne statki parowe. W tak rozpaczliwem położeniu, sternik kierujący Ptakiem Burzy chciał korzystać z przesmyku znajdującego się pomiędzy dwoma piaszczystemi wysepkami, posunął się za blizko brzegu i osiadł na mieliźnie. Amerykanie drugi raz objęli statek w posiadanie, i pamiętni sławnej ucieczki, starali się tą razą zachować to co zdobyli. Ptak Burzy był do Nowego Yorku zaprowadzony, skonfiskowany, przerobiony, uzbrojony dwoma armatami i wysłany do blokowania przystani. Do końca wojny tak służył na różnych punktach wybrzeży, i gdy pokój został przywrócony, był sprzedany z innemi statkami i nabyty przez kupca z Bostonu. Raz jeszcze został przerobiony na kupiecki okręt, wysłany do Kalifornii z odpowiednim ładunkiem, który został zamieniony na skóry i do tego czasu pod nowem nazwiskiem Pottawatomy, tę samą służbę pełni.

Kapitan Hay i załoga byli niby oddani pod sąd w Nowym Yorku, i po kilku dniach odzyskali wolność. Majtkowie, pewni że znajdą tam zatrudnienie i wysoką płacę, udali się wprost do Nassau, gdzie do końca zbierały się okręta wybierające się na naruszenie blokady; ale kapitan zebrał trochę pieniędzy, i czuł się zmęczonym. Chciał przez jakiś czas odpocząć sobie na lądzie stałym, i wybrał się na wycieczkę do Północnych Stanów; w ciągu tej podróży zaziębił się i umarł prawie nagle na zapalenie płuc, w wioseczce blizko katarakty Niagary. Tak zakończył życie uczciwy człowiek i zdolny marynarz; trzeba także dodać na cześć jego, że w jego rękach Ptak Burzy był prawdziwą kopalnią złota dla swoich właścicieli. De Benham, należący do spółki, kilka tysięcy funtów w nią włożył, i w ciągu tych szesnastu miesięcy, dwadzieścia razy pomnożył swój kapitał; skromna sumka Arczybalda w takim samym stosunku się powiększyła, a co do pana Hardwicke, mówiono w City, że bajeczne zyski zrobił na tym interesie; ale pod tym względem, kupiec zachował najgłębsze milczenie, i p. Tymoteusz Knott nawet nie więcej wiedział od innych.

W opowiadaniu tych faktów, odstąpiliśmy od regularnego ciągu wypadków, ale raz opisawszy jego losy, opuszczamy na zawsze Ptaka Burzy.

Tymczasem De Benham wrócił do domu, myśląc o Arczybaldzie, i o wynalezieniu jak mówił, „innego sposobu". Tego dnia jadł obiad z matką, wieczór poszedł do narzeczonéj, a potem długo siedział w nocy, układając swój testament. Dotąd nigdy o tem nie pomyślał. W razie jego śmierci przed ślubem, lady De Benham byłaby cały jego majątek odziedziczyła i to go zupełnie zadawalniało. Ale od jakiegoś czasu, myśli jego stały się ponure i czuł w sercu dziwne pragnienie być użytecznym Arczybaldowi, i dowód pamięci zostawić kilku osobom które znał i lubił za dawnych czasów w Zollenstrasse.

Był tam najprzód Franciszek Kielman ze swoją narzeczoną, skromna, uczciwa młoda para, szczęśliwa z posiadania kapelmistrzostwa z dochodem czterdziestu funtów na rok. Był potem Reichardt, żywy, pełen zapału młodzieniec, malarz z powołania, namiętnie marzący o podróży do Włoch, i którego De Benham przypominał sobie jako wolnego słuchacza, biedniejszego jeszcze od niego. Był szczególnie Arczy, który znosił wszystkie zmiany jego humoru, pielęgnował go w chorobie, cieszył się z nim gdy wyzdrowiał, a nareszcie była Julia Albyne... Serce jego ścisnęło się na myśl o niej. Pierwszy raz zapytał się sumienia swego czy cierpiała, czy mu przebaczyła, czy była szczęśliwą? i przypominając sobie jak nieprawdopodobnem było żeby p. Albyne odmówił sobie czegoś żeby los sobie zapewnić, De Benham i jej imie zapisał, mówiąc że było przynajmniéj jego obowiązkiem obronić ją przeciwko nędzy. Tak, przeciw nędzy; nic więcej teraz nie mógł uczynić dla tej którą niegdyś tak kochał.

Niegdyś! Czy doprawdy było to niegdyś? Czy miłość ta rzeczywiście umarła i została na zawsze pogrzebioną? Czy też tylko umarła i była pogrzebioną jak to nasienie znalezione w egipskich piramidach, które oddane wpływom łagodnym urodzajnéj ziemi, kiełkuje, kwitnie i owoce wydaje, pomimo że trzy tysiące lat przebyło w grobie?

Okrutne to było pytanie, powstające przed nim jak widmo, kiedy rękę, honor, życie innéj oddał. De Benham siedząc sam w milczeniu w nocy, wśród cieniów zaledwie oświeconych lampą rzucającą żywe światło na papiery tylko leżące przed nim, i ogniem dogorywającym na kominku, ujrzał jak przed oczami jego powstawał obraz życia jego jakie mogło było być, spokojne, ukryte, szczęśliwe, pełne miłości, ożywione wesołemi twarzyczkami dziecinnemi. Ale za późno to widział, za późno!

I gorzkie uczucie osamotnienia i rozpaczy ogarnęło go, dziwny napad nieufności w siebie, uczucie, jakby wszystko co uczynił z poświęceniem wszystkiego co mu drogiem było, naprożno zostało spełnionem...

Jęknął na głos, ukrył twarz w rękach i pierwszy raz od wielu lat zapłakał. Gorące łzy jedna po drugiéj spływały przez jego palce i spadały na papier na którym imie jéj było napisane. Ale niedługo silna wola odzyskała panowanie, podniósł się, ręką obtarł oczy i dalej pisał.

Gdy to wszystko czynił, gdy myślał o innych z tą dziwną jakby nieosobistą czułością znamionującą ten akt ostatniej woli, kochające serce myślało tylko o nim, niespokojne ucho czyhało na odgłos jego kroków po schodach, liczyło wolno mijające godziny. Matka nie mogła spać dopóki on pracował.

De Benham pisał ciągle, nie domyślając się że cień przesuwał się po ciemnościach, i u drzwi jego przysłuchiwał się jak pióro jego szybko po papierze biegało, nie domyślając się że miłość wytrwała i wierna czuwała koło niego w milczeniu i cieniach nocy.

ROZDZIAŁ XXI.

T a j e m n i c a.

Gazety nawet niedługo doniosły o przyszłem małżeństwie lorda De Benham z panną Hardwicke, naznaczonem na dzień 25-ty kwietnia; niektóre uczyniły przy tem wzmiankę o wyprawie Ptaka Burzy, inne o dziejach szlachetnéj i starożytnéj rodziny De Benhamów, a wszystkie wspominały o rzadkich wdziękach i o wielkim majątku przyszłej panny młodéj.

Arczy przez kilka dni, gdy tak przyszły los De Benhama został podany do wiadomości ogółu, nie śmiał bywać w Kensington, lękając się że go o prawdę tego wypadku będą się dopytywać, lękając się szczególniéj wyrazu cierpienia jaki był pewien ujrzeć na twarzy panny Albyne. Kiedy nareszcie nie mógł dłużéj się oprzeć pragnieniu zobaczenia jéj, poszedł późno po południu, już o zmroku znalazł się przed drzwiami, i nie tak jak zwykle, co go dzisiaj ucieszyło, został od razu wprowadzony do pracowni. Tam zastał pana i pannę Albyne i dwóch nieznajomych słuchających słów malarza, gdy córka jego układała rysunki w tece.

Arczy spostrzegł zaraz że pokój wyglądał nie tak jak zawsze. Flaszeczki z farbą, gałganki olejem i farbą przesiąknięte, niedopalone cygara leżały rozrzucone; nie było także czuć terpentyny, tylko trzy sztalugi stały w najlepszem świetle, jedna obok drugiéj i na każdéj obraz się znajdował.

Panna Albyne podniosła oczy kiedy Arczy wszedł, podała mu rękę i powiedziała:

— Przyszedłeś na czas, panie Blyth, obrazy jutro będą zabrane.

Arczy nic nie wiedział o obrazach.

— Gdzie odchodzą, zapytał, i jakie obrazy?

— Czy nie wiesz pan? trzy obrazy które papa właśnie ukończył dla margrabiego Sandilands. Będą wystawione i jutro muszą być wysłane.

To powiedziawszy powróciła do układania rysunków. Po sposobie w jaki mówiła, patrzała na niego i nachylała się nad rysunkami, po sposobie szczególniéj w jaki odwróciła oczy nim skończyła mówić, Arczy poznał że o wszystkiem wiedziała. Tymczasem p. Albyne powitał go skinieniem głowy i dalej mówił.

(*D. c. n.*)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 4 (16) Декабря 1875 г.